

551  
BIBLIOTECZKA NARODOWA

JULJUSZ SŁOWACKI



# WYBÓR LISTÓW

CZĘŚĆ II.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

No 45.

Cena kop. 25  
hal. 65.

891.74-6.

~~495~~

BIBLIOTECZKA NARODOWA

~~559~~

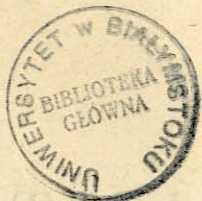
WYBÓR LISTÓW  
JULJUSZA SŁOWACKIEGO

CZEŚĆ II.

PR 966  
WARSZAWA

WYDAWNICTWO MICHAŁA ARCTA





260607/2

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0125983

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.  
1911

W/295/01/260608

## LISTY DO MATKI I RODZINY.

44.

Genewa, d. 30 czerwca 1835 r.

Najukochańsza Mamo moja! Od tak dawna żadnej wiadomości od ciebie, a ostatnie słów kilka, które mi napisałaś, Mamo droga, nie mogą się nawet za list policzyć. Bardzo mi smutno, bardzo jestem niespokojny. Teofilowie także nic nie piszą; nie wiem, gdzie są i co mam robić, aby się z nimi zobaczyć? Pytałem się o to ciebie, Mamo moja, w ostatnim liście i, czekając odpowiedzi, długo się spóźniłem z pisaniem; ale ty wiesz teraz, Mamo, że ja zdrow, że mi żadne nie grozi nieszczęście, więc powinnaś być o mnie spokojną. Dobrze mi dosyć teraz na świecie. Jestem w domu, pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy. Jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajdują pomiędzy niemi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajdują roztargnienie i cichą wesołość. Słucham ładnej muzyki i, słuchając, kryję się do muszli serca mego, jak ślimak, odbywam powoli, jak ślimak, moją drogę w krainie myśli i staram się, jak ślimak, oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, któryby po mnie pozostał. Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite. Raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski. Całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkimi platanami u drewnianego stołu, i ja z niemi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki, i te przez nas zostawały wskazywane na śmierć i autodafe ogniste. Przywiezione w butelkach wino



ciekło, jak w Kanie galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszymi dłońmi, skakały wesoło po jeziorze; graliśmy w zająca, jak dzieci, w obliczu dam porzucawszy surduty i fraki. A kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro, kołysane burzą, starało się nas ukołysać i zadowolnić, jak dzieci, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla deszczu nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć. Słowem, ładny był spacer, wesoły dzień; nikt nie zasnuł się i nie stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza; nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy byli razem aż do wieczora.. Szczęśliwi ludzie, jeżeli w teraźniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora. Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania.

Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi, wracają; wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnąć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadzać ogrody, siać zboże, budować i przybudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskim sąsiedztwem... Zadzroszczę, choć takie szczęście podobnym mi się czasem zdaje do kwiatowego cmentarza: bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć, jak Luter, patrząc na groby Worms: *Invideo, quia quiescunt.* (Zadzroszczę, bo cicho spoczywają). Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, Mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, Matko moja. Lilija wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie... O! o! o! Z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragediach.. Z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja. Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margeritki, zdmuchiwałem cykoryę, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny — i dotąd nie wiem, co mnie na świecie czeka... Zdaje się jednak, że musi coś czekać.

Jeżeliby moje widzenie się z Teofilami dla różnych przeskód spełzło na niczem, to myślę za miesiąc wyjechać w góry i usiąść na kilka miesięcy w jakiej chacie, oberży, aby widzieć chmury jesienne, łamiące się po skałach, aby się napić pięknnością natury i mieć na długo serce pełne myśli, rozplywających się w Bogu... Nie uwierzysz, Mamo, jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrzne mnie,

a jak ja często mówię, na wewnętrznego we mnie aniola. Zdaje się, że myśli moje odmłodziły. Jeden z tutejszych pierwszych malarzy ofiarował mi się być towarzyszem podróży. Miło mi będzie siedzieć przy nim na ulamku skały i patrzeć na odbicie się natury w niedoskonałym sztuki zwierciadle; a kiedy tak będziemy cicho siedzieli między drzewami, wiewiórki przyjdą igrać koło nas, ptaszki będą pić krople rosy na listkach brzoźowych. Tak przynajmniej malarz Guigon wystawia mi te ciche godziny, które przepędza na rysowaniu szwajcarskich skał i dolin. Czasem mówię sobie, że Bóg dobrze zrobił, zaprowadzając mnie w te kraje, i gdybyś ty, Mamo, ze mną była!..

Koszono siano w naszym ogrodzie. Dziwna i interesująca nowina, że koszono siano, ale wystaw sobie. Mamo, jak to miło czuć woń przeszłości... Pamiętam, że raz w Mickunach, stojąc na łące przy koszących ludziach, wyjąłem jakiś srebrny pieniążek, zdaje mi się, że złotówkę, i dałem ją chłopowi, który wszystkich innych wyprzedził... O, laur! O, nagroda! Nie był że ze mnie mały Czacki? Otóż, kiedy tutaj koszono siano, wyszliśmy wszyscy po śniadaniu i położyliśmy się na kopach rozrzuconych, panie i chłopcy i panienki, i tak leżeliśmy całą niedzielę, święcąc dzień boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi, jak trawa i kwiat polny; bo to nie prawda, bo trawę i kwiat polny już skoszono, wywieziono, przedano, już konie zjadły, a my jeszcze nie przeszliśmy, i ja zabieram się na Matuzalowe lata. Szanowne zdrowie — jak mówi Kochanowski. Co do mnie, ja czasem z przerażeniem patrzę na zdrowie i na przyszłość.. Dlaczego? Zwykła niespokojność jaskółki, co się boi, aby się dom jej z gniazdami nie spalił, nim dzieci się wychowają... Jeszcze mistycyzm, czyli raczej ciemność porównania; trzeba wyjaśnić. Jaskółki to moje szacowne dzieła, dokonane i w przyszłości zamierzone... Moje literackie gniazda, papiery, które można lepiej przyrównać do gniazd szczurów, niż do gniazd jaskółczych. Ale co robić? Piszę, jak gdyby mię kto gonił, przekonany, że taki list nosząc cechę mego teraźniejszego usposobienia, najlepiej ci, Mamo, przedstawi mnie w takim humorze, w jakim teraz żyję... Atmosfera imaginacji, kraj przenośni, wyspa ideału, przerznięta rzeką łez. O, jakie to niemieckie! Ale, dalibóg, prawdziwe.

Panna Marya Wodzińska, która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach, szumiących nad pustelnią,



i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś... Tym mnichem-kartuzem mam być ja *en personne*, nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzonej w szlachęką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelnicy domek, a ja nie będę mógł kartuzowym wspomnieniem zdobyć lilijowej duszy dla aniołów... Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krajiny marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości. Ty, Matko moja, zdaje mi się, że przeciwnie. Położenie twoje — umysł — ile razy wystawiam to sobie, zdaje mi się, że twoje serce musi być pełne wzniosłej poezji — poświęcenie się twojej! Chciałbym być w sercu twojem, mammo w godzinę, kiedy siedzisz sama wieczorem tak samotna na ziemi, jak ludzie przeszłych wieków, kiedy księżyc wschodzi nad górą zamkową i mówi tobie o wielu rzeczach i o tej róży, z którą posyłałaś mnie kiedyś — małe dziecko — do biednego. . M. . Widzisz, Matko, że ja teraz pamiętam każde słowo, rzucane kiedyś w duszę twojego syna. Przypominałem sobie wiele rzeczy, o których jużem był zapomniał przed laty.. Zdaje mi się czasem, że przypominam sobie coś z przeszłego życia na tej ziemi..

A propos. Zapomniałem z wszelką szczerością donieść ci, Mammo, że przed kilkoma dniami miałem trochę gorączki i fluksyą. Cały dzień przesiedziałem w pokoju i natychmiast dobry doktor tutejszy przyszedł do mnie; i nic nie zapisał, ale na drugi dzień znów przyszedł i nie zastał mnie, bom był na spacerze. Ta troskliwość doktora rozczuliła mnie i pokazała mi dobroć serca ludzkiego; i mówiłem temu doktorowi, że mu wdzięczny jestem z głębi serca mojego; a trzeba wiedzieć, że to człowiek bardzo zimny i nieczułą, twardą, ślimakową obdarzony skorupą.. Magnes Ignie do żelaza... Jeszcze porównanie i niezrozumiane.. Trzeba ci wiedzieć, Mammo, że mnie ludzie mają za żelazo, bardzo zimne. Wszak pamiętasz, Mammo, że jeszcze na Julka dziecko mówiono. że dumny; to wina mojej twarzy i Boga. Zdaje mi się, że Bóg miał włożyć kiedyś moją duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wichur obrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam... patrzy na słońce... Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic.. Takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach... Trzeba zniżyć lot, trzeba; przypomniało mi to gęsie pióro, którym piszę... gęsie pióro, narzędzie niesmiertelności, a teraz siodsze daleko narzędzie przelewających się myśli w myśli Matki. Trzeba zniżyć lot...

i napełnić koniec papieru wiadomościami małemi. Oto przyjechała tu aktorka z Paryża, którą widziałem w Paryżu i teraz zobaczyłem nie podstarzałą i nie zmienioną. Z tego wnoszę, że ja także nie musiałem podstarzeć się. Może się trochę zmieniłem na duszy, ale też gdyby i tej aktorce zajrzeć do głębi duszy, kto wie, jakie tam przemiany! To dziwnie, że ja ludzi uważam, jak termometra, pokazujące ciepło żywotne mojego Ja.

Odebrałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cudu, a cudem jest, że panna Kora, o której pisałem Mamie, pamięta o mnie. Trzy blisko lat pamięci! O! o! o! Z takim jękiem konają osoby w moich tragediach...

Adieu, droga Mammo; zawsze nazywam ciebie «Mamą», bo ci, co się oddalili i rozłączyli dziećmi, nie starzeją i wszystkimi siłami chcą się zbliżyć do chwili pożegnania, aby rozłączenia się czas krótszym się wydawał i nie przerażał myśli, odbiegającej w przeszłość... Bądź zdrowa i szczęśliwa, Mammo moja!..

Twój JULIUSZ.

45.

*Veytoux, près de Montreux le 23 août 1835.*

Najukochańsza kuzynko! <sup>1)</sup>. Od dwóch miesięcy prawie już nie w mieście, ale na wsi zamieszkałem, nad jeziorem Lemanem, w najpiękniejszym miejscu. Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mnie w dzikie strony. Ludzie różnie o tym sądzą: jedni mówią, że się był zakochał szalenie w pannie Wodzińskiej i uciekłem. Niema w tym za grosz prawdy, ponieważ z tobą, najdroższa kuzynko, mówię otwarcie. Otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu, widząc mię dosyć zajętego paniąką, młodszą od niej, i widząc tę paniąkę dosyć mi sprzyjającą, zaczęła schnąć i zachorowała niebezpiecznie, i matka domyśliła się, o co rzecz idzie, i musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać... chociaż żal mi było domu, gdzie przez 2 i pół lata mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było bardzo wesoło.

Otóż przeniosłem się do wioski Veytoux, nająłem śliczny pokoik, błękitny; z okna widać winnicę, za winnicą jeziore, jak pół nieba, wywróconego na ziemię, za jeziorem góry *Meilleries*, sławne w *Heloizie* Roussa — słowem, trudny do opisanja widok. Ludzie, którzy Neapol i Hellespont widzieli, mówią, że ten im wyrówna... W dzień, pokój mój, jeziore,

<sup>1)</sup> przez ostrożność Juljusz pisał pod tą nazwą listy do matki.



niebo, góry, wszystko błękitne, ale dziwnie czyste i przezrocyste; jaskółki przylatują do pokoju i tłuką się czasem pierśią o zwierciadło... Pokój mój przesłicznie umeblowany. Chodzę na obiad do poblizkiej wioski Montreux, ale jestem bardzo samotny, bardzo samotny. Na dole w domu mieszka minister protestancki, dobry, do rzeczy człowiek, świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci; z nim czasem gawędzę, ale smutny jestem...

Pani Wodzińska z rodziną wyjechała do Drezna; odprowadzała ją wiele osób. Panna Eglantyna umyślnie ją odprowadzała, aby potem mnie odwiedzić i była u mnie i płakała i tysiąc prośb, abym wrócił... i matka jej ciągle mię zaklina, ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wołę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mnie karmili i kochali przez dwa lata, i dlatego jutro wyjeżdżam, a przejazd do nich bardzo łatwy i krótki. O godzinie 7 siadam rano na statek parowy, a o 4 po obiedzie będę w moim dawnym mieszkaniu. Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś, na świecie przez dwa lata klejonego, nie sklepiło... Nudzi mię dom, gdzie mieszkałem, i zasmuca mnie ta myśl, że ten dom ma mi być obcy; znów szukać nowych ludzi, oswajając się z nowymi twarzami — a tam byłem jak synem, i płakałem, wyjeżdżając, plakany.

Odebrałem list od Filów. Koniecznie chcą, abym przyjechał do nich. Teraz pokazało się, że nie mogę... Odebrałem i twój list, droga kuzynko, list, który mnie rozczulił i pocieszył. Sąd o moich dzieciach<sup>1)</sup> jest moim sądem... ale to, co po tych dzieciach narodzi się, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze ciebie, moja droga kuzynko. Nawet zamysłałam ci ofiarować na pierwszej stronie nowe, zapewne tej zimy wyległe dzieciątko... Dopiero to, zaręczam ci, kuzynko, będzie twoim wnukiem... Powiedz, czy ci to nie zaszkodzi?

Wracając do Filów — nie mogę jechać do kraju, gdzie oni przebywają, żadnym sposobem — jednak jeden z moich przyjaciół otwiera mi jeszcze drogę niespodziewaną. Piszę list do Paryża, do wielkiej osoby; może, jako chorego, upoważni do jechania, a wtenczas nie będzie żadnych przeszkód... ale o takie upoważnienie bardzo trudno: słowem, robię to przez znaczne figury, a robię, co mogę... Jednak nie chciałaś, kuzynko, aby mi się w podróży przytrafiło jakie nieszczęście... Filowie zrozumieć tego nie mogą i w liście dają mi uczuć,

<sup>1)</sup> mówi o swoich nowych utworach poetycznych.

że ja to muszę robić przez skąpstwo. Boże! Gdybym ja mógł zobaczyć te kraje, gdzie oni są, przebyć z niemi zimą, cóżbym ja za to nie dał? Ale mam dosyć rozsądku, że muszę sobie wyperswadować rzecz, która, jeżeli ostatnia moja staranina nie uda się, stanie się wtenczas niepodobną. Czy wrócę do domu pani Pattey, czy gdzieindziej zimę przepędzę, jeszcze nie wiem; listy mię zawsze pod dawnym adresem dojdą.

O, moja kuzynko! Kiedy patrzę na ten ładny domek, w którym mieszkam, jakby mi się chciało ciebie tutaj sprowadzić i oddać ci mój pokój błękitny, który zjadłabyś — taki ładny, jasny i tylko dla samotnego smutny; jaskółki biorą go za kawałek nieba... Życie trochę mię taniej kosztuje, a taniej kosztowałoby jeszcze, gdybym nie był przymuszonym obiada za domem szukać. Przy wyjeździe taki smutek, taka mnie nuda opadła, że zakazałem, aby mi nie przysyłano książek; wziąłem tylko kilka moich ulubionych autorów i z temi, jako to: Szekspirem i z Byronem, chodzę po górach, kładnąc się pod drzewami i czytając... Śliczne trawy, śliczne kwiaty, woń wiejska, przypomina mi dziecinne czasy. Myślę o Mickunach i o Wierzchówce.

Prześlicznie miałem księżycowe noce; wtenczas wychodziłem nad jezioro, siadałem na małym przyładku, wchodzącym do wody, z jednej strony miałem księżyc, z drugiej stronę zamek Chillon (który z okna o 200 kroków widzę). Pierwszy raz słyszałem w starej wieży śpiewanie puszczynka. Co mi w takich nocach przechodziło przez głowę, trudno wypowiedzieć. Czasem żałowałem ludzi i rycerzy, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani, i zamek ich tak cichy stoi w księżycowym blasku. Potem pytałem siebie, za co ci ludzie ginęli, i odpowiedź była napisana we świąteczkach chat wieśniaczych. Nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach. Otóż ci rycerze, którzy dawniej ginęli, zapewnili zgonem swoim szczęście przyszłych pokoleń. Widziałem więzienie pyszne Chillonu, widziałem filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźni. Czytałem Byrona, patrząc z bliska na mury zamku, i «Więzień Chillonu» piękniejszym mi się wydał... ale okolice zamku nie są moją najulubieńszą przechadzką. Co dnia, idąc na obiad, przechodzę około ślicznego kościoła: otoczony kwiatami; bluszcz się wije po szarych gotyckich ścianach, pełno róż i jaśminu pięknego wokół, ławki, mur kościelnego dziedzińca porosły błękitnymi dzwonkami, a z muru najpiękniejszy widok. Oko biegnie po zaroślach i zielonej spadzistości na zwierciadło jeziora... Jak dobrze modlić się w takim koś-



ciółku, jak dobrze ludziom, którzy w nim modlą się od kołyski aż do grobul

Byłem raz na wiejskim balu na górze. Wieśniaczki i wieśniacy, ubrani dobrze, kęcili się walca, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, że cały taniec mijal nad brzegiem przepaści; i zawsze jezioro było tłem obrazu; widać je z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. Nic piękniejszego, jak okolica, w której żyję; ludzie wszyscy pięknie zbudowani, mnóstwo kobiet prześlicznych, zgrabnych, a wszyscy zdają się szczęśliwi. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie?...

Gospodarzami moimi są wieśniacy, którzy dom ładny wybudowali, i drą jak mogą, cudzoziemców, którzy tu dla kuracji winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu zjeżdżają się na zimę. Tego roku wiele famillii wielkich chciało się tu usadowić, ale nie znaleźli dość wielkich domów. Jakbym ja chciał, abys mi, kuzynko, poradziła, czy mam wrócić do Pattey, czy ich usilnym naleganiom odmówić? Listy ich rozdierają mi serce. Jutro będę musiał obecnych nalegań słuchać i opierać się im, a czuję, że samotność tak zupełna, jaką mam teraz, złą jest dla człowieka... Nadto myślę i nadto zachmurzam się, a potem — tam mnie kochano, i zdaje mi się, że bardzo i szczerze. Nie wiem sam, czy wrócić, czy nie. Widzenie się z Teofilami pożyłoby koniec wy mówkom; myślą, że się gniewam, że mi ich dom niemiły. Dobrze mi u nich było, spokojne wiodłem życie, jak we własnej rodzinie.

Od dwóch dni jestem w Genewie, gdzie mię przyjęto jak syna. Szwędam się i robię wszelkie starania dla uzyskania paszportu do Teofilów i mam nadzieję, że go mieć będę za kilka tygodni. O, jakieby to było szczęście! Jutro wracam znów do Veytoux, do mojego wiejskiego mieszkania, i będę czekał rezultatu moich zachodów. W domu pani Pattey znalazłem ładne Francuski, które tu uciekają od cholery, bo słabość ta na umyśle Francuzów wielkie sprawia wrazenie.

Był tu raz jubileusz protestancki, obchodzony z wielką pompą; właśnie przyjechałem statkiem parowym w sam dzień iluminacyi. Kto wie, może przyszły list razem z Teofilami pisać będziemy. Oby tak było!

Moja kochana kuzynko! Pisz zawsze do mnie pod dawnym adresem, to listy mię pewnie dojdą. Muszę zakończyć moje bazgraninę, bo właśnie o godzinie pół do pierwszej muszę iść do doktora po otrzymanie świadectwa, potrzebnego do wydania paszportu. Nie lękaj się jednak, moja kuzynko, o moje zdrowie; czerstwo wyglądam i piersi moje nigdy z taką mocą nie oddychały. Adieu, najdroższa kuzynko! Odbie-

ram właśnie w tej chwili list od Teofilów, w którym mi donoszą o przysłaniu książek i znów nalegają o wyjazd. Adieu! Całuję rączki, oczki, ściskam ciebie serdecznie i żegnam.

Twój JULJUSZ.

48.

Rzym, d. 28 maja 1836 r.

Najdroższa moja! Ze smutkiem zapewne dowiesz się, że po trzech miesiącach pobytu z Filami w Rzymie muszę się znów teraz z niemi rozłączyć i puścić ich samych do Neapolu. Wszystko mi się nie splata; muszę znów zostać sam, a że nie lubię wrażeń niezupełnych, chcąc, aby ta samotność głębszą była, wyjeżdżam na mieszkanie do Tivoli; stamtąd zamierzam udać się dalej w góry i po samotnych przesiadywać oberżach, aż póki trudność, doznawana teraz, nie ułatwi się, lub też póki Filowie nie wrócą z Neapolu.

W ostatnich czasach żyłem w Rzymie z kilką ziomkami moimi, młodemi, zapalonemi, i tych towarzystwo ożywiło mię nieco. Jeden z nich <sup>1)</sup> miał wiele podobieństwa do dawnego dziecinnego przyjaciela mojego, Ludwika <sup>2)</sup>. Rozmawiając z nim, przyszło mi na pamięć wiele dawnych uczuć i wiele dawnych wyrazów. Chodziliśmy razem na spacerki i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills. Jest to ogród pełen róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. Przy świetle księżycy, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgłę sinej tonął, z dziwnym rozemdleniem serca myślałem o przeszłości. Nieraz ciebie, moja droga, wspomniałem, cicho i głośno; opowie ci to kiedyś Zygmunt, mój towarzysz romansowych wędrówek, bo może on przedko ciebie widzieć będzie, a obiecał mi, że to uczyni jak będzie mógł najspieszniej po powrocie z zagranicy. Jak dziwnie powietrze włoskie działa na moje zmysły, tego ci opisać nie mogę. Mam tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba; chciałbym tu był przepędzić moją przeszłość.

Byłem niedawno na cmentarzu tutejszym angielskim i widziałem groby dwóch poetów; jeden z nich kiedyś mógł być dla mnie przestrogą. Młody Keats leży pod małym kamieniem; poeta, wydał kiedyś swoje wiersze — krytyka ostra jednego z pism angielskich zabiła go, to jest, dostał melan-

1) Zygmunt Krasiński. 2) Spitznagla.



chologii, potem suchot, i pochowano go w Rzymie. Miło leżyć na takim cmentarzu: mały, kwadratowy, pod piramidą Cestusza, dawnego Rzymianina, niewielu dotąd grobami zasiany, a te, co są, ciche i z białego marmuru. W jednym kącie cmentarza przezroczystym, klomb cyprysów i innych lekszych drzew, zupełnie, jak galk elizejski w «Eneidzie» Wirgiliusza, po którym błądzą cienie kochanków—samobójców.

Drugim śpiącym poetą na tym cmentarzu jest Shelley, przyjaciel Byrona. Bezbożny, utopił się: ciało jego spalono na stosie, wśród równiny nad morzem w Lido. Prochy leżą na cmentarzu, lecz niespokojne: tablica marmurowa pękła na dwoje; może jaki duch w bezkسیężycowej nocy rozłamał ją i uniósł duszę ateisty... Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? Czy na krzemienieckim cmentarzu, pod śliwą babuni nie będzie mi spokojniej?

Tymczasem ja, co myślę o pewnym odpoczynku dla ciała, nie mogę teraz posłać go z Filami do Neapolu i nie wiem, co z sobą robić. Nie wiem, czy rzucić Rzym dla jakiej bezludnej okolicy, czy pozostać w tym samym mieszkaniu, co teraz? Smutno mi będzie i pusto. Zostanie mi tylko jeden dom, w którym będę mógł przepędzać wieczory. Są to pewni baronowie Richthoffen <sup>1)</sup>: mąż Niemiec, żona Polka, bardzo miła osóbką, wiele gadająca, z rodzaju naszych przymilających się i zwinnych kobietek warszawskich. Gdybyś sobie, moja droga, wystawić mogła, co to za urok jest dla nas w Polkach, jak one zdają się nam z innego świata, lekszego, zgrabniejszego, stworzeniami, tobyś się nie dziwiła, że, słysząc tylko o tej pani, lataliśmy, jak waryaty, z Zygmuntem, po willach włoskich, aby ją zobaczyć. Ideał, utworzony w imaginacji, rozprysnął się za pierwszym spotkaniem tej damy w ogrodzie Borghezycznych, i teraz została mi w niej tylko miłutka znajomość, bo mnie Aleksander Potocki <sup>2)</sup> zarekomendował, a moje nazwisko, już trochę znane, pomogło mi do otrzymania dobrego nader przyjęcia.

Filowie zdecydowani na wyjazd; za dwa dni ruszają, widzisz więc, moja droga, że, i tak blizcy siebie, nie możemy zawsze być razem: jakiś zły duch rozwiewa nas po świecie, jak nędzne słomki. Patrząc z prerażeniem na mieszkanie, w którym sam zostanę; chciałbym, żeby imaginacja przyszła mi na pomoc i zapełniła takimi marzeniami dni moje; ta

<sup>1)</sup> baron Krystjan Fryderyk Wilhelm Richthoffen, właściciel majątku Ryon na Śląsku pruskim, umarł 1882 r. <sup>2)</sup> Syn Szczęsny Potockiego.

szalona władza tworzenia jest dotąd moim aniołem stróżem, bez niej, nie wiem, cobym począł na świecie.

Ponieważ wszystko ci piszę otwarcie, powiem ci, moja droga, że mi smutno, bo pod koniec mego tu pobytu straciłem serce Fila. Jest w tem wiele mojej winy, wiele może uchybienia, ale też z jego strony skłonność do złego humoru wiele się przyczyniła.

Oto na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dni i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem, bez żadnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wielu ziomeków moich; sami Filowie powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w moim mieszkaniu i pierwsi robić znajomość, a, chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkiemi sposobami starali się mnie przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli, stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.

Z Zygmuntem biegaliśmy po odległych spacerach, wieczorami tak na żywych i pasyjonowanych rozmowach czas nam zbiegał, że często wracałem do domu, kiedy się już Filowie spać położyli. Przeczytałem był wszelkie moje prace Filom, które się im nie bardzo podobały, i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem. Wiesz, droga, że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej, i choć się jej broni, jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacją zastygającą potrzeba czasem, aby obcy dodali jaką skrę, aby obronili człowieka od rozpaczki, na którą tak oziębłość zwykła ludzi sądzących mnie... Rzadsze przesiadywanie w domu stało się przyczyną, że Filo okazywał mi się nieraz z zimną twarzą; często, wróciwszy ze spaceru, siedł prosto do okna i słowa do mnie nie wyrzekł. To mnie od siedzenia w domu do reszty zniechęciło. Mając z niemi rok cały przepędzić, nie sądziłem, abym przez cały rok miał w domu siedzieć i tylko nad wieczór krok za krokiem wychodzić na zwyczajną przechadzkę z niemi razem, ja co przywykłem prędko latać, czasem nic nie mówić, czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonemu językiem imaginacji.

Teraz Filowie wyjeżdżają, wyjeżdżają, może rozżaleni na



mnie, że nie byłem takim, jakim być należało. Czuję i cierpię na tem i tobie, moja droga, powierzam tę jedną nową z moich żałości, abys ty mnie utuliła i przyrzekła mi, że, kiedy mnie wszyscy porzucą i kochać przestaną, ty mnie nie porzucisz i będziesz kochała tak, jak gdybym ja był dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ludzką! O, przeczuję, że oni nie przywiążą się do mnie, i ze strachem rzucą obcych ludzi, którzy się byli przywiązali do mnie i lubili. Piszę ci to, droga moja, abys mogła mnie jeszcze pojąć i żałować, że ja z tak smutnemi myślami zostaję sam w Rzymie.

Ułożyłem już sobie, jak mam przepędzać mój dzień samotny. O godzinie 7-mej z rana będę wychodził na spacer, aby cokolwiek się chłodem orzeźwić, potem zajdę do kawiarni, potem około 10-ej wrócę do domu i w płóciennej belluzie będę marzył, pozapuszczawszy żaluzye, i gryźć się zapewne będę aż do godziny 4-ej, o której wyjdę na obiad; po obiedzie spacer i wieczór; albo samotny, albo u pani Riechthoffen, w której domu pierwszy raz w życiu będę się starał być, jak domowym, i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia.

Wystaw więc sobie, droga, życie takie, wymaluj myślą naokoło młodego chłopca Rzym, spiekły upałem przez dzień cały bez drzew, bez żadnej zieleności, i pomyśl, co on będzie robił? Jak na dobitkę przyjechał tutaj Gaj z żoną, ów młody niegdyś sowizdrzał; ten chce koniecznie, abym się z nim po Rzymie włóczył, bo on lubi gadać dużo, jak sam powiada, i potrzebuje koniecznie kogoś nudzić. Już dwa z niemi spacerowały. Wczoraj byłem na kopule Św. Piotra i wlałem aż do kuli pod krzyżem, gdzie 16 ludzi pomieścić się może. Widok na Rzym stamtąd bardzo piękny; cały dach kościoła podobny jest do jakiejś kolonii: nawet jest kilka domków rzemieślniczych i fontanna, ciągle ciekąca. Chodząc po nim, człowiek czuje, że nie jest na ziemi, i doznaje takiego wrażenia, jak chodzący po pokładzie okrętu; stamtąd idzie się na kopułę po bardzo dobrych wschodach, bez żadnego niebezpieczeństwa, do samej zaś kuli wchodzi się po drabinie, na którą ty, droga moja, pewniebyś polazła, bo pamiętam, jak jesteś odważną do takich przedsięwzięć. Gajowi, architektowi, zdawał się taki kościół bardzo łatwym do zbudowania, ja zaś myślałem sobie, że kiedyś jeszcze będę tak się drapał na piramidy, bo, tak ciągle blakając się po ziemi, może kiedyś i tam zabłądzę.

Moja droga! W ostatnim liście tak mało miałem od ciebie i o tobie, że mi dotąd smutno; aż mi żal dawniejszych

twoich listów, gdzie przynajmniej musiałas, myśląc o mnie, dwie całe stronicie napisać. Wożę z sobą ogromny pakiet twoich listów od najdawniejszych czasów, bo nie mogę się odważyć, abym najmniej z nich ważne i miłe zniszczył. Osobno leżą w mojej komodzie, patrząc na listy siostry mojej, Eglantyny, które także miłe mi są, bo sercem pisane. Odeszła, droga moja, do Filów do Neapolu, a oni mi list odesła, lepiej bowiem zawsze pisać pod znajomym adresem.

Jeden z tu mieszkających malarzy zrobił teraz mój portret, osobiście trafiony bardzo ładnie i bardzo podobny. Zachowam go, bo mi kiedyś do litografii może bardzo będzie potrzebny, ale ci się postaram o dobrą kopię, którą przez wracających Filów odbierzesz. Jednak mam jeszcze trochę nadziei, że ty, droga moja, może z Mianowskim choć do Florencji przywędrujesz. Słaba to nadzieja. i nie śmiem jej myślami karmić, aby nie rozkwitnęła nadto i nadto dręczyć mnie nie zaczęła. Jednak myśl ty o tem, droga, i napisz do Mianowskiego, czyby się to skutecznie nie mogło; tylko, moja droga, pamiętaj, że ja na spotkanie twoje nie mogę dalej pojechać, jak do Florencji. Każdy do innego miejsca twój wojaż nie zbliżyłby nas i tylko mocniej dałby uczuć smutek i żal rozłączenia.

Adieu! Droga, luba moja, bądź zdrowa i nie potępiaj mnie, nie wszedłszy w serce moje, serce, pełne łez i boleści, przywykłe do jakiejś dzikiej samotności, albo do wrzeszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia. Tak się Bogu podobało mnie stworzyć — a Sylka mówi, że jestem zupełnie stworzony na podobieństwo twoje. Adieu, droga!

Twój JULIUSZ.

49.

Neapol, 20 czerwca 1836 r.

Najdroższa moja! Od piętnastu już dni siedzę w oknie moim, na ulicy St. Łucyi w Neapolu, patrząc na błękitne morze, na Wezuwiusz, na Neapol, ciągnący się w półokręgu na lewo, w dzień — biały, w nocy — jaskrawy tysiącem światel. Mam balkonik mały nad morzem, na balkoniku stoi krzesło, i róży wazon. W tym krześle siedzę, jak śpiący, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tureckiego tytoniu; czasem podnoszę głowę i widzę—co?... Teofilów z Gajostwem, siedzących na drugim balkoniku na górze i patrzących na morze. Tak zwyczajnie część dnia upływa w kontemplacjach. Pod wieczór robimy różne projekty spacerów, które czasem



przychodzą do skutku, a czasem niezgodnością głosów zerwane, kończą się na tem, że każde z nas idzie w swoją drogę, to jest: Filowie na ludną i publiczną promenadę prowadzą się, jak dwoje gołąbków, Gajostwo idą skupować lawy i obrazki, a ja wracam znów na moje siedzenie na balkoniku i przemierzam cały wieczór.

Takie jest życie moje; niech go (jak powiada Adam) słuchacz w duszy swej dośpiewa. Teofil lepiej i z większemi szczegółami opiszcie ci, droga moja, miasto, w którym mieszkamy: ja chciałbym ci tylko dać ogólne wyobrażenie kształtu tej stolicy. Wystaw sobie brzeg, zabudowany domami w kształcie wielkiej litery E, z przydaniem kaligraficznego ogonu pod spodem: E. Na szczycie tej litery stoi Wezuwiusz, na pierwszym ząbku latarnia morska, na niższym, drugim zalamaniam się litery, naprzeciw Wezuwiusza, nasz dom, cały zaś ogon, ciągnący się dalej, zabudowany wielkimi domami, zamieszkały przez najmodniejsze figury, nazywa się *Chia'g*. Wyjechawszy na morze, wykąsy brzegowe nika i miasto wydaje się wielkim, białym półksiężycem. W całym mieście mało rzeczy do widzenia: dosyć jest poznać ogólnie fizyognomię tej stolicy. Domy jasne, pańskie, oświecone słońcem, bez dachów — wielki ruch na ulicach, mnóstwo powozów, mało zawijających do portu okrętów. Zamek królewski wielki nad morzem, mnóstwo wojska ładnie i różnobarwnie ubranego, ciągle w ruchu, z muzyką, mniej księży, niż w Rzymie, ale więcej, niż w innych miastach. Wszystko tak kolorowe, jak bańka z mydła, wypuszczona przez jakiego morskigo trytona — z daleka białe, jak piana morska, leżąca na brzegu, z której, ja chciałbym, żeby wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tym wielkiem zwierciadle błękitu.

Oto masz, droga moja, wyobrażenie Neapolu. Nie wiem, czy ty, co, jak biedna jaskółka, mieszkasz w glinianym domku, w cichej dolinie krzemienieckiej, będziesz mogła z tych kilku słów utworzyć sobie jaki obraz. Ja wiem, że nigdy przedtem nie miałem wyobrażenia o Neapolu: nie wiedziałem, jak ten Wezuwiusz stoi na straży z boku zatoki, otoczony u spodu białym wieńcem małych domków — nie wiedziałem, że można mieszkać o 12 kroków od brzegu morskigo i mieć morze dziedzińcem domu swojego, a Wezuwiusz latarnią, stojącą u bramy. Szkoda, że dziś na tym latarniowym słupie żaden pan ziemski latarni zapalić nie może. Zachwycony jestem Neapolem, a jednak za dwa dni myślę wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Dlaczego? Wyznam ci, droga moja, że już mię przejażdżkowe życie dosyć zmęczyło. Myśl moja, która przez trzyletnią spokojność przywykła do

wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę. Wyznam ci także, droga, że mi braknie *podpórki*... Podpórka nazywa się u mnie... trudno mi to wytłómaczyć; jest to coś, co mię kocha — coś, co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie — jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Przywykłem nie do Kochania czegoś, ale do lubienia czegoś na ziemi; dlatego jestem niespokojny, dlatego w Neapolu nie chce mi się dłużej siedzieć, a w Sorrento przywołaniem na pomoc mocnych myśli, będę się starał zapelnąć tę czerzość, która mnie teraz nadto lekkim czyni i nosi po wierzchu wszystkich wrażeń. Raz tylko, na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem więcej na mnie z tamtego świata.

Ale czy uwierzysz, droga, że Herkulanum i Pompeja nie zrobiły na mnie dużego wrażenia! Chodziłem po ulicach Pompei z cygarem w zębach, jak po spalonej wiosce. Uliczki małe, brukowane przed wiekami, z dwóch stron grobowce i domki bez dachów i sufitów, uróżowane, jak stare kobiety, szczątkami czerwonych malowideł. Małe framugi, wylepione muszelkami, z których niegdyś lały się źródła wody, dziś nie płaczące. Świątynia Izys mała, z wyrocznią, która dziś, restaurowana, ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu. Mały cyrk teatralny odkryty; ani przy jego kolumnach stoją zaschłe trupy aktorów, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Odgrywał tylko na nim Gaj komedia, bo chciał wziąć z murów mały kamyk marmurowy na pamiątkę, -- i cicerone odkrył rzecz i pamiątkę wyjął czulemu, sentymentalizującemu wojażerowi z zanadra... Ja na to wszystko patrzałem, siedząc w łoży. Wchodząc do domu poety, towarzystwo odezwało się do mnie po polsku, abym pierwszy, jako poeta, progi przestąpił. Cicerone nasz przebiegły zaraz zrozumiał, o co rzecz chodzi, zaraz powołanie moje wywahał i dowcipnie się znalazł, bo, przystąpiwszy do mnie, rzekł: «Ponieważ pan jesteś u siebie, więc mi coś daj!». Na tak zgrabne przymówienie się nie mogłem nic odpowiedzieć, tylko brzęczącym słowem, które zaraz imię moje «poety» zamieniło w ustach cicerona na tytuł *eccellenza*. i tak uradowany guid zaprowadził mnie do najtajniejszych zakamarków poetycznego domu, pokazując mi różne bezwstydyne i rozwiązłe obrazki. O, poeto starożytny, nie żal, że ciebie niepamięć zasypała, a dom twój popiół przywalił! Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, że można byłoby w jednym z tych domków szcze-





śliwie pędzić życie; trzeba by tylko z trzykroć majątku. Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem, pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzjami zielonemi zaslonioną pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!

Byliśmy także na Wezuwiuszu. Wdrapaliśmy się w nocy, po drodze, pełnej lawy, oświeceni czerwoną pochodnią przewodnika, aż pod samą igłę góry, gdzie stoi mały domek pustelnika. Było nas czterech: Filo, Gaj, muzyk Wański i ja. Pustelnik dał nam kawał chleba, sera i trzy butelki wina *Lachrima Christi*. Kazaliśmy podać podróźnych książkę i, przepatrując różne napisy z Filem, przepędziliśmy większą część nocy bezsenni; potem zasnęliśmy na kilka godzin i przed wschodem słońca ruszyliśmy dalej. Trudno się było drapać po osypującym się popiele, ale widok roztrzaskanego szczytu Wezuwiusza wynagrodził nam trud podjęty. Nic piękniejszego, jak ten piekielny obraz żuźlowych skał. Niektóre czerwone się wydają, jak ogień, inne, złotym kolorem siarki umalowane, błyszczą od wschodzącego słońca; z niektórych miejsc wydobywają się białe kosmyki dymu. Dalej ogromna przepaść krateru, cicha teraz i połykająca rzucane w nią kamienie z ogromnym hukiem — gdzieniegdzie żuźle, jeszcze gorące i ciepłe powietrze z ziemi wydobywa się, jak z pieca. Z tej równiny żuźlowej widzieliśmy wschód słońca. Nieraz już ta gwiazda zaślawała mnie na szczytach gór; może już mnie zna z twarzy, witając mnie tak często pierwszego na ziemi.

Świeżym porankiem zstępowaliśmy na ziemię. Cela pustelnicza, ocieniona lipami, dziwnie się piękną i cichą wydawała. Ksiądz spał jeszcze, bo go widać nie było. Usiadłszy na ławce kamiennej pod domkiem, patrzyliśmy przez jakiś czas na morze i Neapol. Cudowny widok! Zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik, obdzierający podróźnych, ludzie powinni by zbudować klasztor dla ludzi smutnych, jak ja. Niechby stamtąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo. Na wulkanie przychodziły mi do głowy różne dziwaczne myśli. Naprzykład, myślałem sobie, że nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi, zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią, jak strumienie, i wpadały podziemnymi drogami do żaru wulkanicznego. Gdyby się tak działo od stworzenia świata, jużby się ludzie z tym tak oswoili, jak z plynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków.

W Neapolu dobrze nam i spokojnie. Nie wiem, co dalej będziemy z sobą robić; zależy to od paszportu Teofila, a dyrekcyja moich wędrowek także może niespodziany weźmie obrót. W Neapolu życie niebardzo drogie, zdaje mi się jednak, że trochę droższe, niż w Rzymie. Obierając miejsce pobytu na zimę, będę na to dobrze uważał, czy życie tu, bez kosztu przeniesienia się do Florencyi — czy życie w tym ostatnim mieście z podróży taniej mnie kosztować będzie. Zdaje mi się jednak, że jeszcze, aby dożyć do końca tego roku, potrzebować będę około 50 ₰, a to żyjąc jak najoszczędniej, zwłaszcza, że w każdym razie mogą mi kazać zmienić doktorowie tutejsi miejsce pobytu. Teraz mam się bardzo dobrze na zdrowiu; zaświadczą ci o tem, droga moja, Teofilowie. Jeżeli tak dalej będzie, spodziewam się lat Matuzalowych. Ale ty, moja droga, w ostatnim liście donosisz nam, że ci się znów pogorszyło. O, moja najmiłsza! Chciej ty mocno i proś mocno Boga, aby cię zachował długo, długo na tym świecie, gdzie bez ciebie już dla mnie słońca nie będzie.. Adieu, droga moja!

Twój JUL.

51.

D. 24 sierpnia 1836 r. Neapol.

Droga moja! Zdziwisz się zapewne, odebrawszy ten list, na wsiadaniu prawie pisany. Wyjeżdżam na wschód: do Grecyi, do Egiptu i do Jerozolimy. Projekt ten, oddawna zrobiony i kilka razy odrzucony ode mnie, jako nadto straszne przedsięwzięcie, przyszedł nakoniec do skutku: odbędę sześciomiesięczną wędrowkę w towarzystwie Zenona Brzozowskiego, i w Aleksandryi połączę się z dwoma moimi współtowarzyszami podróży. Będzie więc nas czterech, żeglujących po Nilu aż do pierwszej katarakty. Nie lękaj się o mnie, moja droga, ani frasuj się o sposoby dosyłania mi czego: mam wszystko zabezpieczone, a Filowie powiedzą ci, czego potem żądać będę. Wstrzymaj więc najdroższa moja, wysłanie grosza, o który w poprzednim liście prosiłem — jeżeli zaś już wysłany, to niech zostanie w rękę Hausnera; do niego pisałem o to osobno. Filowie odradzali mi wojaż, ale kiedy się wahałem, czy go mam przedsięwziąć, czy nie, utworzona lossem biblia zdecydowała mi następującym wierszem: «Kościoły azyjskie pozdrawiają was». Może to, droga moja, weźmiesz za przesąd, ale wierszowi temu zawierzyłem, i on mię prowadzi w daleką drogę... Dziś wieczór o godzinie 12-jej w nocy wyjeżdżam z Neapolu do Otranto. Stamtąd do Korfu,



z Korfu do Aten, z Aten do Aleksandryi; taki przynajmniej mamy teraz ułożony plan podróży; — jak go dalsze okoliczności zmieniają, nie wiem. Spodziewam się, że ta podróż będzie mi użyteczną; chociażby tylko ustaliła moc charakteru, którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznymi, to już dosyć będę miał z niej korzyści. Obaczę nowe kraje, nowych ludzi, będę żył z niemi, będę mię nosił wielbłąd karawan, pomyślę o śmierci na grobie Chrystusa, będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem z sercem pełnym pamiątek i obrazów wrócę do jakiej cichej europejskiej samotności.

Lękam się, moja droga, abys ty mi za złe tej podróży nie wzięła, ale cóż robić było z mojami kolegami, którzy mię tak zreżenie namówili i związali przyrzeczeniami, że się na odmówienie zdobyć nie mogłem. Zresztą, wierz mi, droga, że podróż, która ci się może nadzwyczajną wydawać będzie, widziana z brzegu Śródziemnego morza nie tak straszną się wydaje. Z Aten zapewne pisać będę. Smutno mi Filów rzuć. Ostatnie dni naszego tu pobytu prawie całe razem przepędzamy, i mile nam przeszły na smutnej rozmowie ostatnie te godziny naszego widzenia się. Filowie zawiozą ci, droga moja, waniekę z lawy na łyż po Julku, a w tych łyżach będziesz kąpać maleńkiego mojego przyjaciela niegdys w dzieciństwie, Homera, a ja idę zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. Wyznaj, droga moja, że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza, jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gąłęzi usiądę. Pomimo oporu, jaki nieruchowość moja stawia tej niewidomej władzy, ona mię wystrychnąć gotowa na wielkiego wojazera.

Droga moja, dziś wyjeżdżam i wiele jeszcze mam zatrudnień; nadto, ostatnie mi godziny zabiera obiad, na który z Filem zaproszony jestem; muszę cię więc krótko teraz pożegnać, pocałować myślą i ruszać w moją podróż...

Adieu! Przyrzekam ci, że w najpiękniejszych miejscach, tam, gdzie najwięcej wspomnień rzeczy, marzonych w dzieciństwie, będzie się cisnęło do mojej duszy, będę myślał o tobie, droga moja, bo, kiedy o Grekach dawnych czytałem, to oczy moje, zwrócone w książki, co dnia spotykały twarz twoją. Więc i dziś, patrząc na ich pomniki, będę szukał ciebie w powietrzu oczyma. Adieu!

Twój JUL.

52.

*Otranto, d. 29 sierpnia 1836 r., poniedziałek.*

Puściłem się nareszcie w moją pobożną wędrówkę — przez Grecyą, Egipt do Jeruzalem i stoję już nad brzegiem morza Adryatyckiego, tak, że podniósłszy nogę i wstąpiwszy w pierwszą falę, bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom. Czekam tylko na statek kuryerski, przypluwający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz zapewne, moja droga, co mię do takiej nakloniło podróży? Ja sam prawdziwie nie mogę sobie wytłómaczyć, dlaczego z takim smutnym zapalem rzucam się w świat nieznamy, pełny niebezpieczeństw, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje... Myślisz, że chcę się coraz bardziej oddalić od ciebie? Dlaczego?

53.

*Bayrut, 1837 r. 12 lutego.*

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandryi. Ciągle w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym niema regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten za pomocą mojego towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie do rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się, jak waryat, po świecie; widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku. Czulem wiele: byłem wesół, zachwycony, plakałem, miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roz-targnienia, i dwie wielkie niespokojności, to jest: niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, że się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie, jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ścisną za ręce, patrzy w twarz i nic mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją prawie za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecyą, Egipt, Syryę, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bayrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Więc przez miesiąc lub dwa zamie-



rzam udać się do klasztoru *Bet-chesz-Ban*. Tam będę spędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne; towarzyszem moim będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz, rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrii. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszu na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mi zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Pâquis. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i, kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć ode mnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczał pewny nasz rodak, doktor w Kairze. Dziesięć dni ciąglej słoty wytrzymałem na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie!

Ale o tym wszystkim napiszę ci, moja droga, obszernie w drugim listku, którego cię trochę później dojdzie; ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że niema się czego lękać wschodnich krajów. Klimat najpiękniejszy, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniądze mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, który mi do klasztoru towarzyszyć będzie!

O droga moja! Żebym to ja za trzy miesiące we Florencji zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, tak, jak o to prosiłem Boga, całą noc czuwając przy grobie Chrystusa; i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie. Moja droga, do której ja z różnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdym wrażeniem — dlaczego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili, aby mógł płakać, położywszy twarz na rękach twoich... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.

Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Filę, jeżeli już są przy tobie..

Twój JULIUSZ.

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstając z rana, towarzysz mój przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mówiąc, że, kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozaków już odtąd, tłuczących się na siodle, żałować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu

pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, które w drugim liście zakończę.

Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairu. Pyszne miasto; piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tym stworzeniu maleńcy wydawali się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodników, i, biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoików, we wnętrzu piramid będących, w których stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwóch Arabów. Byłem na szczycie najwyższej piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhornu, kopuła Świętego Piotra, Wezuwiusz, piramidy, były to dla mnie, jak najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny płaszcz wędrujący, siadałem na chwilę aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła.

W Kairze uliczki małe, mnóstwo sklepów. Przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczek z wełny, robiony w Tunisie, a zwany *burnus*. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla ciebie, droga moja, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego, jak w lekkie i miękkie prześcieradło. i tak leżeć na twojej maleńkiej kanapce. Mój towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczek tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywał mnie, jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolników i ładną jedną Abisynkę, za którą dawano już 1000 fr.

6 listopada, wzięwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami, którzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkania się z dwoma Holyńskimi, którzy, nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę... Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego co uderzało w oczy. Mnóstwo żórawi, lecących po błękicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gółębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały



i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla którego porwali się od stołu, aby mu się z bliska przypatrzeć: wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze. Także była to wielka przyjemność obaczyć ich pawilon na łódce, spotkać ich, pójść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało. Kościół ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, którzy się już po odbytej podróży do Kairu wracali, i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachów niepodobna; wojaż jaki lepiej to uczyni, jak list krótki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, chat, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubii, aby widzieć wysepkę Philae. Śliczne miejsce, śliczne ruiny! Imieniny twoje, droga moja, o których bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Tebów. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca. Widziałem je o wschodzie i o zachodzie słońca: są to olbrzymie granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnym polu, twarzami obróceniu na wschód. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy. Jeden z tych, przed wiekami zmarłych wojażerów, napisał na granicie: «*słyszę Memnona*», i słowa te w czasie terażniejszego napisane, a o tak dalekiej świadczą przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy, zwiędzając Tebów ruiny. Za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała tylko jedno słowo, nibyto włoskie: *mangeria*, i z litośną miną o takie mangerie upominała się. Widziałem Arabów, którzy konno wsiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie bojąc się krokodyłów.

Oprócz jednej burzy nilowej podróz tę odprawiłem z wszelkim bezpieczeństwem. Konsul mój otrzymał mi firman baski, który z największym uszanowaniem Arabi odczytywali. D. 10 listopada, to jest po trzydziestokilku - dniowej podróży na Nilu, wróciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodaków, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich.

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tym mieście i potem wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwoma

śluzącymi i Beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłeka: zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym tarmakom — i Beduini pędzili nas, jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróz taka ma dziwny powab... Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego. Była to mała, biała kapliczka z kopułką; święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas dzielił, w którym były dwa okienka, i przez te mieliśmy ze s. p. komunikacją. Wielbłądy leżały więcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rośło wielkie czarne drzewo, w którym całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróży namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wiosceczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznymi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hyeny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego Beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynie i obok naszych ogniów swój ogień rozkłada — nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe, palące się lekkim płomykiem, jak koronki brabancie, słowem, przyjemna podróz w pustyni — ażeśmy przybyli do El-Arisch, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni 12 kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję ciebie serdecznie, droga moja, i proszę bardzo ciebie o list do Florencji, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantanny przyniosą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno poste - restante, i to nie bardzo spaźniając.

54.

D. 19 lutego 1837 r., Bayrut.

Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawiłem list do ciebie z opisaniem podróży egipskiej. Inną drogą teraz wyprawiono tę ćwiartkę, spodziewając się, że, jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej rąk twoich dojdzie. Z tamtego listku



dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie; teraz opiszę ci moją kwarantannę w pustyni przy małym miasteczku El-Arisch.

Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantanny 12-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi dokoła, i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, zakreślono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono na łasce Pana Boga. Wszakże do małego namiotiku, który i z sobąśmy mieli, przydano dwa drugie: jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można było schronić na przypadek deszczu, słowem, miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego morza, i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy. Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliliśmy w nim kuchenkę; ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym własnym małym rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia... Wieczorem, towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolędę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł...

Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalana, zawsze gasła; deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże, podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden pakiet — i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białemi, krągłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok tej nowej inundacji nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy światła pochmurny, przeszedł nam, smutnie suszącym się na górze.

Głodni, bo o kuchni nawet myśleć było nie można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywający się mokrą rogożą i dywanem. Potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas trzęsienie ziemi, które w Syrii do szczętu wiele miast pochłonęło. Widziałem sam Tyberyadę, w której 500 ludzi zginęło, a domu jednego całego nie zostało...

Nie będę ci opisywał Gazy ani Jaffy. W tym ostatnim mieście miałem zastać Olesia Spitznagla, będącego wice-konsulem, ale oczekiwanie moje zawiedzione zostało, pojechał był bowiem na greckie święta do Jeruzalem, a stamtąd miał się udać do góry Synaj... Myśl, że go nie zobaczę, martwiła mnie, i śpieszyłem do Jerozolimy, aby go choć przed dniem wyjazdu raz widzieć i uściśkać...

W Jeruzalem stanąłem d. 13 stycznia o godzinie 9 w noc. Bramy miasta zamknięte, cisza grobowa; księżyc, szczerkanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy firmany nasze otrzymają nam wejście, czy trzeba będzie na polu nocować, jakieś wspomnienia krzyżackie — wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nakoniec, po 2 godzinach, otwierają się bramy: zajeżdżam do klasztoru. Spitznagiel <sup>1)</sup>, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół; biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: «Oleś!». Nie poznaje mnie. Pytam go po kilka razy: «Jak to? Czy mnie nie znasz?...» — odpowiada mi po trzykroć: «Niech mi pan daruje, ale, prawdziwie, nie przypominam sobie...» Nakoniec musiałem ze ściśnionym sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli mi była przykrą ta chwila, to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przeszedł de mnie i, wzięwszy za rękę, powiedział: «Do zobaczenia»; oddawszy mu uściśnienie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że, jeżeli odjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia się żegnać się trzeba. Cały ten dzień było mi smutno.

Z dnia 14 na 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że lzy rzucały mi się z oczu. Noc, u grobu Chrystusa przepędzona, zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół: zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło

<sup>1)</sup> Aleksander Spitznagiel, brat Ludwika, przyjaciel Juljusza z lat dziecińczych.



43 lamp. Miałem biblią, którą czytałem do 11-tej w nocy. O pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili votum odmawiać co dnia pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień, a potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego grób święty, także (jak widziałem przez szczeliny) zaczął w swojej altance dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznią, słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, swiergocąc o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawili mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą na intencją mojej kuzynki, a ja, klęcząc na tym miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: «*Niema go tu, zamartwychwstał!*» słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jedździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie także na żłóbku Chrystusa słuchałem odprawianej mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napelniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w prostej grotcie, gdzie anieli zwiaściami pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego. Ale, żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcząc ziemię palestyńską, trzeba by na to dzieła...

A ziemia tu, o droga moja, jak piękna! Jakimi renunkami ognistego koloru, błękitnej i białej barwy okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca... Góry, tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu strasliwą fizyonomią. Okropną jest dolina Józefata... Z pod oliw Chrystusa wziętem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie, w Napluzie, nareszcie przyjechałem do martwej, a świeżo umarłej Tyberyady <sup>1)</sup>. W mie-

<sup>1)</sup> miasto w Galilei.

ście ledwo trochę żywych ludzi, a wszyscy kogoś płaczą... Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami; na jednej z tych stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W mieście, nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem; a kiedyś się obudziłem i odkryłem głowę, widziałem księżyc, późno wschodzący nad jeziorem Genzeretańskim..

Stamtąd w 5 dni stanąłem w Damaszku. Miasto podobne do Kairu i nieinteresujące, a jednak bardzo piękne ma okolice. Nakoniec, przebywszy śnieżny Antyliban, znalazłem się między ruinami prześlizgniętego Balbeku. Pamiętasz, droga moja, że kiedyś, a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnymi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry. Stojąc między kolumnami, rzeczywistymi teraz, przypominałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy je przeglądałem na obrazku, i serce moje było pełne smutku. Liban, także śniegiem pokryty, przejechałem konno szczęśliwie. Od wyjazdu mego z Kairu dwa miesiące, jak jestem na siodle, i dobrze mi z tem. Śniegi gór także mnie dalekiemi napelniały wspomnieniami. Teraz zjechałem do kraju, w którym najpiękniejsza wiosna; jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały proszą kwiatem, słońce pyszne, słowem, jest to prawdziwie ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej, aż za dwa miesiące. Nie pojedę do Konstantynopola, bo mnie to miasto niewiele interesuje; wolę jeszcze poznać się z Libanem i z chrześcijańskim ludem Maronitów.

Z niecierpliwością czekam listu od ciebie w Livorno, droga moja. Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce; potym ufam w Boga i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze, zresztą nie wiem zupełnie, co się dzieje ze znajomymi i z miłymi osobami. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali ci o mnie, droga moja? Czy mnie jeszcze trochę kochają, czy się im powiedziało z ciotunią? A ty, droga moja, czy mnie także kochasz? i nie masz mi za złe tej podróży? Czy listy moje, do tak dalekiego echa podobne, nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokojkach? Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie? Trzeba lecieć, gdzie wiatr mnie powieje, i modlić się u Chrystusa, aby mi kiedyś dał ciszę i spokojność—a mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie, choćby tylko promień takich pięknych wspomnień miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości... Kiedyś, usiadłszy z tobą na cmentarzyku krzemienieckim będą



ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A, słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechać, jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości...

Bądź zdrowa i szczęśliwa, najdroższa, najmilsza moja!

JULJUSZ.

56.

*Liworno, d. 11 lipca 1837 r.*

Najdroższa moja! Dziś o godzinie pół do czwartej rano wyszedłem z kwarantanny; z jakąż niecierpliwością czekałem godziny 9-tej, o której otwiera się okno pocztowe! Wybiła nareszcie; biegnę i odbieram dwa listy: jeden od ciebie, dnia 21 kwietnia pisany, drugi od Eglantyny. Idąc przez plac, otworzyłem pierwszy dla serca mego, i słowa twoje takie jakies zimne i smutne mi się wydały, że bałem się rozplakać na ulicy i uciekłem prędko do hotelu zgryźć boleść, jaką mnie napelnilo takie powitanie, mnie, co przez 10 miesięcy nie miałem słowa od ciebie, który wreszcie już nie mam w świeżej pamięci czulszych listów twoich i myślę, że jużes ty mnie kochać przestała...

Dziękuję Bogu, że ty zdrowa, a ty mu także podziękuj, że mnie spokojnie przez kraje różne i przez morza prowadził i nie chciał mnie nawet widokiem niebezpieczeństwa przerazić... Ta cała podróż, którą ci kiedyś obszerniej opiszę, była pełna przyjemności i zachwyceń. Jakżebym chciał, abyś mój list z kwarantanny odebrała; miałabyś tam opisanie mojej czterdziestodniowej morskiej podróży.

Jestem w Liworno, w tym samym hotelu, gdzie 14 miesiącami przedtem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami — ten sam dano mi pokój: wszystko to podwaja jeszcze moje dziwne rozigranie nerwów. Piszę ten list i chciałbym papier porzucić, aby go czempredzej wysłać do ciebie, aby dniem jednym pierwiej ciebie pozdrowić i dać Ci pocałunek duszy, najdroższa moja. Ale zaczynam rezonować z sobą i wmawiać w siebie, że powinienem być szczęśliwy, bo wczoraj w kwarantannie, gdyby mi kto tylko pokazał jedno słowo, twoją ręką napisane, jużby mnie to zaspokoilo... Wreszcie może to tylko wewnętrzne usposobienie duszy, jakieś mimowolne rozczulenie, którego człowiek doznaje, powróciwszy z dalekiego wojażu i zaczynając nowe życie, jest przyczyną, że mi twój list się zimnym i niepełnym twojej miłości dla mnie wydał. Tak uspokoiwszy się nieco, chciałbym ci coś o mojej podróży napisać...

Grecya, pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej, niż Rzym mnie zachwycała. Egipt zatarł Grecyą w mojej pamięci. Nic cudowniejszego nad ruiny, nad Nilem będące. W liście z Aleksandryi pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w orientalnym mieście, i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby to opisać, bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast, i na końcu żadna sprzeczność z naszymi zwyczajami nie uderzała mnie. Może cię drugi list, z Bejrutu pisany, dojdzie: tam będziesz miała opis podróży mojej po Syrii. Przepędziłem całą jedną noc sam jeden w grobie Chrystusa, modląc się za ciebie i za naszych. Ale cóż to jest moja modlitwa! Gdybym był wiedział, że się modlić było potrzeba o to, abyś ty dla mnie w przywiązaniu nie ostygła, zrosiłbym gorętszemi łzami tablicę marmurową, która pokrywa grobowiec...

Pyszny jest dzikością widok Martwego morza, zwłaszcza, że, będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawicę, i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę... Widok to był dla mnie, który, wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przednimi nogami na krzaku — przypominający ustę z biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam Arab, na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do jakiegoś dawnego bałwochwalskiego króla. Byłem w Betlehem, w Jerycho, w Nazaret nad jeziorem Genezaretąńskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma... Zdawało mi się, że postać jego spokojna stoi jeszcze na błękiecie fali, z głową otoczoną promieniami. Nad tym jeziorem spałem pod gołem niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i, choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mnie wschód księżyca. Jaka to była chwila, ile pamiętek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genezaretąńskim jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę. Przeczytaj ty, droga, biblię, pomyśl, że ja widziałem Kanę Galilejską, te lilie, czyli raczej anemony czerwone, do których Chrystus równał Salomona, mówiąc, że nie był ubrany tak pięknie, jako jedna z nich — że te kwiatki, na które on patrzył, piękniejsze są od naszych purpurowych maków polnych. Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował narodzenie Chrystusa, że wieśniak jakiś orał przed tą grotą, że byłem przy źłobie Chrystusa i słuchałem mszy, odprawianej na nim za moją kuzynkę — i, pomyślawszy o tym wszystkim, przebac mi, że się włóczyłem, przebac mi sześciomiesięczną twoją niespokojność i kochaj mnie zawsze i bądź dla mnie przyjaciółką dobrą



w tych krajach, gdzie teraz może nie znajdę żywej duszy, coby mnie trochę lubiła! O droga moja, dlaczegoś ty się lękała o mnie? Czy ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiazdeczkę nad głową, dla której zle nie przemoże nade mną, aż Bóg mnie zawoła?

Bądź zdrowa! Na drugiej stronicy piszę do Filów, a ty ją, odciążwszy, odeszlij. Adieu, najdroższa moja!

Twój JUL.

64.

*Florecya, d. 10 lipca 1838 r.*

Najdroższa moja! Dawno już nie pisałem do ciebie, bo w tym miesiącu miałem różne zatrudnienia, które mnie naprzód szaleł, a potem napelnily czczością. Zaczynając ten list, nie wiem, jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stonsunkach listownych z tobą, droga moja, znajdować powinna; a na ten raz chciałbym, abys była młodą dziewczynką, szalonym, jak ja jestem w chwilach ekscentrycznych życia mojego, wtenczas, kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich, kiedy wreszcie znajduję sobie jaką Fornarinę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael. Kiedy pomimo przestrog rozumu zakocham się z całą pasją serca mojego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i nareszcie z rzeczy pospolitej bardzo zrobię sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiętki jego wystarczą na zapelnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi.

A tu niech się Sylka nie uśmiecha, wspomniawszy sobie na moje rzymskie bóstwo, bo dziewczynka, która mnie teraz lubiła, odpowiadała zupełnie pięknym włoskim okolicom. Oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich. Kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie.

Otóż admirujcie moją moc charakteru! Zamiast ugrząźć we Florecyi i przemienić się w jaki laur zaczarowany, wyjeżdżam 25 t. m. do Paryża, albowiem wysłałem tam przede mną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać. Nie wiem, jaki będzie los jego, i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na

świecie, zwłaszcza, że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Pierwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się *Anhelli*; melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego.

Zaczynam więc znów życie mniej ospale; więcej dla mnie ciekawe będą dni i godziny. Interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem; jeżeli zle mi będzie między nimi, uciekam znów w góry Alpejskie albo Pirenejskie, i osiadam w nich na zawsze, jak pustelnik. Otóż takie są w kilku słowach moje zamiary na przyszłość. Pod koniec mego pobytu wszystkie miejsca wydają mi się miłsze. Okoliczności się tak składają, że, opuszczając każdy kraj, załutę go, bo mi pod koniec dobrze w nim być zaczynało. Tak się dzieje i z Włochami: od trzech miesięcy wybieram się z nich w drogę i wybrać mi się nie chce. Teraz wreszcie naznaczyłem dzień wyjazdu i już sam siebie nie zawiodę. Boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynce, które mię nareszcie mocy charakteru pozbawićby mogło i do jakich szaleństw przywieść, mnie, który dotąd na uwięzi trzymałem serce moje, i czystsze życie wiodłem, niż inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie, i że mię miał za oryginała nie do naśladowania. Natura moja jest pełna błyskawic: najwięcej dni ciemnych; lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci. Z tych wszystkich światła zrobię kiedyś wianek na czoło i tak zostanie.

Co ty powiesz, droga moja, na ten list dziwny? Nie mam żadnego przyjaciela, któremubym o wszystkim mógł mówić otwarcie, więc niech te listy zastąpią mi wszystko; od tylu lat pisane co miesiąca, muszą być najlepszą historją życia mojego — z nich musisz mię znać lepiej, niż ja sam siebie; bo nigdy żurnalu nie piszę i nie wiem, jak się i o ile od siedmiu lat przemieniłem w sposobie czucia i pod względem rozumu. Jeżeli widzisz, droga, co drożnego we mnie, jaką fałszywą dyrekcją, myślom nadaną, ostrzeż mię, bądź mi przewodniczką, światłością w drodze. Już cię dawno nazwałem dziesiątą Muzą moją.

Porzucam więc Florecyę, mój salonik z fortepianem, gdzie mi tak nudno schodziły smutne i dżdżyste dni zimowe, mój ganek, gdzie dwie chude stoją pomarańcze; albowiem od dzieciństwa uważałem, że moje drzewa nigdy nie rosły i kwiaty w moich wazonach nigdy nie rozkwitały, może dlatego, żeś nadto patrzył na nie i mój wzrok ma palącą własność.



Porzucam mój belwederzyk, gdzie w zimie dla zimna, a teraz dla gorąca siedzieć nie mogę, bo jest, jak latarnia — i nie żal mi tego wszystkiego, choć wiem, że w Paryżu będę musiał w jednej maleńkiej stancyjce pomieścić siebie i manatki moje, ale zato więcej mieć będę towarzystwa, więcej zachęcenia do pracy, więcej porady. Teraz nie miałem nawet jednej osoby, której mogłem się zapytać, czy moje nowe dziecko głupie jest, czy rozumne — albowiem sobie nie wierzę i niepokojny jestem, nie tak jednak, aby mi to sen odejmowało. O nie, daleko mię bardziej dręczy ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że może reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży.

Niech się stanie jednak, jak się Bogu podobało. Widziałem nawet przestroję jego w małym zdarzeniu: oto przeszłego wtorku wziąłem jednokonny tilbury i pojechałem z moją Fornariną do Pratolino. Filo zna ten ogród angielski. Lataliśmy po murawach; klomby róż, między ciemną zielenością błyszczące, przypominały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie — słowem dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą, ale koniec dnia tego wcale nie odpowiedział początkowi. Wracając, koń mój w kabryolecie wziął na kiel i poniósł; widząc niebezpieczeństwo, wyrwociłem umyślnie i tak szczęśliwie, że zostaliśmy na ziemi, a koń z przednimi kołami poleciał. Nic złego się nie stało ani mnie, ani mojej milej, która na mnie upadła. Kabryolet się popsuł, koń się pokrwawił, zapłaciłem za szkodę kilka skudów, i tak się skończyło: dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka. To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale że od nich nie zginę. Widzicie więc, że można w Azji i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać z królową ostatecznych przestrahów, jak pismo święte mówi.

Niech cię tylko, moja droga, ten mały wypadek niespokojności nie nabawia, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, to uczą ostrożności. A wreszcie, to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to jakby jaki dług, zapłacony nieprzewidzialnym wypadkom. Nie troszcz się o mnie, droga, bo mi wystarczy, jak się spodziewam, do końca roku z tym, co mam; spodziewam się, że rachunki moje dobrze także pójdą z opiekunem moich dzieci<sup>1)</sup>. Co do braci Hołyń-

<sup>1)</sup> wydawnictwa nowych utworów.

skich, towarzyszków mojej podróży, o tych nie wiem, gdzie są, i zapewne się z niemi aż w pozaprzyszłym roku zobaczą. W mieście, do którego jadę, pełno było teraz zyskownych spekulacyi na akcyach, co mi dało myśl, że, gdybym miał co grosza w rękę, mógłbym ostrożnie go sobie przysporzyć i na wszelki przypadek mieć w kieszeni. Pomyślcie o tym, ale tylko otwarcie i bez wszelkich ceremonii. Chciałbym jakimkolwiek sposobem coś sobie zarobić, ale mozem się nie zdać do tego i z przedsięwzięciami mojami będzie, jak z temi kwiatami, które, pomimo to, że je podlewam, nie rosną.

Mieliśmy tu na świętego Jana piękne fety, iluminacje, fajerwerki, biegi konne i t. d. Wszystko to Teofilowie na swoje oczy widzieli, więc ich opisywać nie będę; wreszcie wiecie, że ja nic nigdy nie opisuję, bo przekonany jestem, że to są słowa stracone i niczego nie uczą. Mówię ci więc tylko, droga, o zatrudnieniach moich, o nadziejach, z których jedno gasną, drugie się zapalają, o burzach serca mojego — a powinienbym ci tylko mówić o wielkiem przywiązaniu mojem dla ciebie, o miłości, która się ciągle powiększa przez wdzięczność za wszystkie dobra, któremi mnie obsypuje, droga moja, czuwająca nade mną. Odebrałem twój listek i potrzebny mi był, boś mi się w jakimś śnie straszonym była zjawiała, i wstałem zimnym potem obłany, myśląc o tobie; list twój, we dwa tygodnie po tym śnie odebrany, był mi wielką pociechą.

Adio! Śnij mi się, droga, ale w miłym śnie jakim, abym widział twarz twoją, uśmiechającą się do mnie, i żeby mi to odświeżyło serce na długo...

JUL.

67.

D. 6 sierpnia 1839 r.

Niespokojna jestem i smutna bardzo, bo nawet twoje starania, najdroższa, o zaspokojenie nadal losu twojej Zosi<sup>1)</sup>, i te dowody, które dalaś teraz twojej pamięci o wychowanicę twojej, napelniają mnie jakąś nadzwyczajną melancholią... lękam się, abys ty uszczerbku jakiego w swoim bycie nie ponosiła, obdarzając tak Zosię, ty, która sama masz niewiele. Do rozpaczcy mnie to przywodzi, i nie wiem, co począć. Spu-

<sup>1)</sup> Aby nie narażać matki, Słowacki pisał ten list i kilka innych jako Zofja S.



szczam się jednak na wolę Pana Boga i na twoje przysłowie: «jakoś to będzie», które się teraz mojem stało przysłowiem. List ten, droga, piszę w niepewności, czy cię mój list pierwszy doszedł... Chciałabym bowiem i poświęciłabym wszystko szczęście na ziemi, bylebyś ty o mnie, wychowanicę twoją, spokojną być mogła... Jeszcze raz nalegam i proszę, abyś starała się zdrowiu twojemu ulżyć i dopomódz wyjazdem do wód jakich, albo do cieplejszego klimatu włoskiego.. Zabrałabyś wtenczas z sobą i twoją Zosię, której klimat ten takżeby służył bardzo, i która się z miejsca teraz nie rusza, oczekując, gdzie ty jej pośpieszyć każesz na twoje przywitanie. Biedna ja!.. Jedyne to moja nadzieja, że cię jeszcze ucałować będę mogła i okazać ci moje przywiązanie i wdzięczność: jedyna, mówię, nadzieja, bo wszystkie inne, połączone z niespokojnością o twoje zdrowie i spokojność, zgorzkniały dla mnie i zbrzydły.

Krótko piszę, bo się boję, że ty może bazgraninę moją komu innemu pokazujesz, a ja nie chciałabym, aby się z moich frazesów kto inny mógł śmiać i przekrecać wyrazy mojego przywiązania i wdzięczności dla ciebie. Smutno mi i bardzo smutno, a jedynie listy twoje mogą mi nieco rozвесelić i ululać do snu. Nie opuszczaj więc, droga, żadnej okazji, która ci się nastreczy, pisania do mnie, abym wiedziała, że ja zawsze w sercu twoim mieszkam, jak dawniej, kochana przez ciebie, bo mię dręczy niespokojność jakaś o to, czy ty mnie zawsze kochasz... Do widzenia się, oby jak najprędzej!..

ZOFIA S.

73.

*Podhorce (Paryż), d. 16 lutego 1841 r.*

Nigdy nie myślał, droga moja, że ty mnie kochać przestalać. Niestety, tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mię tylko, że ja ci mojej miłości niczem dowieść nie mogę, dlatego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność i rozpacz. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką niezbyt gorzką, pełną wspomnień i wrażeń. Niedarmo żyliśmy i tęskniliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin. Nie mówię to, abym cię chciał pocieszyć; wszak ja byłem przy grobowcu Racheli w Ramie i wiem, jakie tam było słycać po nocy płkanie nieuciszone. Lecz pomyśl, droga! Gdyby nie tak, a inaczej przeszło życie na-

szę, nie mielibyśmy teraz wiele w przeszłości goryczy, a może mniej na przyszłość, choćby u Pana Boga, nadziei. Któż wie, czyby nasze serca próźniejsze nie były? Ty wiesz, droga, jakim ja niegdyś nie lubiłem egzaltacji próźnej i wielkim nieszczęściem nieusprawiedliwionej. Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a że kto nas obaczy chodzących w ciemności, albo się patrzących w blade oczy księżycy, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość, stała się nam dozwoloną i zwyczajną; wszak nieprawdaż? A teraz bez egzaltacji i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał, kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek <sup>1)</sup> moich dam imię twoje chrzestne—i to imię długo będzie brzmiało, owonione zapachem konwali, która rośnie na Czerczy. To jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi.

Całuję cię, droga moja; niech cię smutek tego listu nie smuci, ale uspokoi i wiosnę uczyni miłszą i zieleńszą. Niech przez okno twoje wchodzą kwiatów zapachy, a przez drzwi twoje wychodzi na ulicę zapach święconego; niech girlanda szarych żebraków z obarżkami w ręku odchodzi od progów twoich; mój duch będzie wszędzie i z tobą na zawsze! Chrystus przyrzekł, że do skończenia świata.

Twój J.

74.

*Paryż 1841.*

Najdroższa moja! Napisałem ci list weselszy, niż dawniej, i rozjaśniłem nieco pociechą ustronne życie twoje; teraz, gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś, niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić... Są lata, napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadnego skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bólu; złe, słowem, i bezsenne lata... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszym, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyja-

<sup>1)</sup> Salomea w «Horsztyńskim».



ciómi... Jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega: może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobra ona jest, i mnie teraz weselej.. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że, gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterowych humoru mego uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo, rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwnie dumną spokojność.

Dzieci moje <sup>1)</sup> rosną na moją pociechę. Kiedyś je obaczysz, jak znajdę człowieka, któryby im za mentora w podróży mógł służyć, bo inaczej nie odważy się ich w podróż wyprawić; możeby ciebie nadto krzykliwą gromadą opadły. Poszłę ci także z niemi siebie w dwojakim odbiciu: jeden z bronzu, drugi przez jednego z braci metra mego angielskiego robiony, w jego rodzinie, na papierze; oba precudowne w wyrazie twarzy, a co mnie cieszy, że trwałym robione sposobem. Lękałem się zawsze, aby mnie na starość dzieci moje nie kazały rysować, wtenczas, kiedy mi już oczy zagasną; miałem w tem nawet, muszę ci się przyznać, pewną kokieterią, która szczęśliwie teraz zupełnie zadowoloną została. Lecz wierz mi, iż myśl ta, że ty je widzieć będziesz, anielską mnie przenika radością; kiedy spojrzę na nie a pomysł o tem, że te wizerunki są dla ciebie, to prawie skaczą z radości, i dziwię się, że jestem takim dziecinny.

Zeno, mój współpodróżny, ożenił się; ale nie pisał do mnie, musiał o mnie zapomnieć. Maluję teraz rzeczy, które mnie często w wasze strony myślą zawodzą, i duch mój przechadza się po księżycu w Julinkach i pływa z łabędziami po stawach. Czy pamiętasz ty pewną damę, która po Czerczy na osiołkach przed dwoma laty jeździła? <sup>2)</sup> Znam ją i bardzo mile z nią przepędziłem miesiące tu i niedaleko panny Eglantyny, na północ. Zresztą wszystko po dawnemu: kocham ciebie, myślę o tobie, najczęściej wtenczas, kiedy mi dobrze, śnię czasem nawet, i to mię z tobą obznajamiam — a jednak potrzeba mi koniecznie widzieć ciebie, droga, bo i dzieci moje nie wytłómaczą ci tego, cobym ja sam mógł ustami na twoich rękach wycisnąć... Jednemu z moich znajomych, podobnego do mnie nazwiska, przytrafiła się dziwna choroba: sądzi, że mu grzyb w głowie rośnie; pamiętaj

<sup>1)</sup> utwory literackie. <sup>2)</sup> Pani Bobrowa.

więc, że to nie ja, jeżeliby kto mi chciał tego grzyba w mózg wsadzić.

A teraz bądź zdrowa, spokojna i kochaj mię zawsze, zawsze!

Twój Jul.

76.

Paryż, 1841 r.

Najdroższa moja! Dawno, dawno już nie pisałem do ciebie, ale ty, droga, wiesz, że mi to było boleśnie tak milczeć, ty wiesz, że ciebie kocham, ty wiesz, że serce moje ma coś w sobie wiecznie trwałego, że nigdy nie zapomina ani się nie zmienia. Teraz szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nade mną czuwał i kochał mnie i błogosławił.. Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiośnianem oddychać powietrzem; charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle patać. Szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się jak człowiek szczęśliwy, żyłem. Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku; tych co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przede mną stanęli, i widząc mnie niedrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem.

Dziękuj Bogu, droga moja, bo On mnie widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nade mną, a pomnąc na to, nie drżij o mnie nigdy, nigdy! Otwarcie powiem ci, że za jedno dziecię <sup>1)</sup> moje wyzwany byłem na pojedynek, żem z największą zimną krwią stanął na placu, a ci, którzy się mieli stawić, nie przyszli, ale przysłali do mnie przyjaciół, a ja bez najmniejszego ugięcia się, dumny i cały odszedłem do domu; piszę to dlatego, aby cię jaka plotka fałszywa nie doleciała i nie pozbawiła pokoju... a przysięgam ci na Boga, że piszę prawdę.

Wszystko to nie tyle mnie cieszy, ile list od panny Marjanny z Graefenberga, który mi wróży, że ciebie, droga moja, zobaczę. O, proszę cię, błagam, dbaj o zdrowie twoje i przyjeżdż tu do Galicyi; tobie wody potrzebne, mnie także doktorowie karlsbadzkie kąpiele radzili, miłoby mi było Drezno zobaczyć. Ty wiesz, że ze wsi mojej mało wyjeżdżałem, byłaby to więc podróż najrozkoszniejsza dla mnie, a tak teraz wierzę, że jestem w jakiejś dobrej szczęścia epoce, że i ta nadzieją snem mi się wydaje. Tymczasem zbieram i sadzę

<sup>1)</sup> utwór literacki.



tulipany <sup>1)</sup> i, patrząc na te kwiaty, myślę o tobie ze łzami... O, ileżbym ja rzeczy miał tobie do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli; jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach! Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkim szczerze mógł mówić z tobą, jak z Bogiem, i potrzebą mi, aby to wszystko co we mnie dźwięk jaki wydało, odbiło się choć raz o serce twoje, abys ty nie myślała, że daleki od oczu twoich, inną drogą, niż należy, poszedłem... Przyjeżdż, droga moja, a zapoznamy się na nowo i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkim zapomnieć, myśl o tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mnie w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abys, połozyszy rękę twoją na mojej schylonej głowie, rozgrzeszyła mnie z moich win dawnych i z tej, ciągle trwającej winy, że nie jestem przy tobie.

Alę ty mnie kochasz; twoja miłość wyprzedziła wszystkie ludzkie miłości i zapewne je przetrwa. Jeszcze ci raz powtarzam, bo wiem, że ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej, a ja nie jestem, jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy terazniejszego *dobrze* nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, i ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mnie wesoło .. i z nadzieją ..

Twój JUL.

77.

Paryż, 10 listopada 1841 r.

Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żalostnej skargi, a co okropniej, zdaje się, iż udręczonej tyłą cierpieniami już i syn twój przestał ci być miły. Ileżbym chciałbym się bronić, nie mogę, bo wiem, iż jestem winny względem ciebie; ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga: więc się lituj i pomyśl sobie, że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie. Wierzaj mi, że nie przez obojętność nie posłałem ci dzieci moich, i teraz, kiedy wiem, że te, krzykliwe, ciebie nie udręczą, kazałem natychmiast im robić nowe koszulki i surduciki

<sup>1)</sup> pisze poezje.

aby jak najschludniej przed tobą stanęły <sup>1)</sup>. Jedno z nich zawiezie ci i mój portret: nie jest to taki, jakiegobym chciał, albowiem coś ma w wyrazie srogiego i oczu moich wyraz niedobrze w nim oddany; jako robota jednak na stali, jest bardzo piękny. Tu wszyscy mówią, że nadzwyczaj podobny i wielką sławę robi rysownikowi <sup>2)</sup>, ale ja ci pod sekretem powiem, że nie wart jej, a mnie samemu żal, że takie dzieło zostało tak trwale wyrobione. Inaczej się rzecz ma z medalionem brązowym <sup>3)</sup>: patrząc na niego, będziesz na mnie patrzała, i czuć to, co ja czuję, myśląc o smutnych i świetnych losach... Bronz ten już opisany był, a co najlepsza, z medalionu tego możesz kazać, ile chcesz, gipsowych porobić, bo to nie jest rzecz trudna i Saunders dopomoże.

To wszystko, jak sądzę, trochę ciebie pocieszy, nie mówię: rozweseli, bo takie rzeczy zawsze jakiejś smutnej, dumnej melancholii rodzą uczucie... Patrząc na ten twarde czerp, zdaje mi się, że już umarłem, i dlatego medalion ten wisi w moim pokoju, jak psalm Dawidowy: więc dobrze, że takie rzeczy będziesz miała, że ci one często szemrać będą o nicości szczęścia wszelkiego na ziemi... I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne małe cierpkie życia trudności — a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może ci się te wszystkie wyrazy dziwnemi zdadzą — może nie będziesz wiedziała, że ja, tę prostą filozofię pisząc, łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech... ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co ci płakać każe...

Dziwi mnie to i boli trochę, że dzieci moje, włóczące się po świecie, nigdy się same u ciebie nie pokazały, ani ci o nich kto powiedział. Wiem ja, że ty mieszkasz odłudnie, ale przecież i na zamek krzemieniecki są drożynki i ścieżeczki; wszak my dzieci waszych..., choć nie bardzo po większej części ładne, widujemy.

A teraz, droga, nie sądz mnie srogo i moim dzieciom wiele przebac, i napisz mi, którego ci twarzyczka najlepiej się podoba; wiem to ja wprawdzie bardzo dobrze, ale jednak ciekawy jestem i serdecznie ciekawy. Ostatni maleńki <sup>4)</sup> zły jest, ale był potrzebny, był konieczny; celu swojego dopiął, i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się

<sup>1)</sup> utwory poetyczne Juliusza.

<sup>2)</sup> portret rysowany przez Józefa Kurowskiego, rytowany na stali przez Jamesa Hopwooda.

<sup>3)</sup> medaljon rytowany przez Władysława Oleszczyńskiego.

<sup>4)</sup> Beniowski.



teraz strażą. Ten, co po nim, jeszcze nieznanym, ale będzie lepszy i piękniejszy; zobaczysz w tym maleńkim mój obraz. Z powodu to tego błaznka miałem zajście, o którym pisałem — nie z Adamem, ale z jednym mniejszym <sup>1)</sup>, lecz wszystko to od Adama poszło... Trzeba ci wiedzieć, że na jednym wieczorze oba improwizowaliśmy do siebie; co było, obaczysz, i opowie ci to na końcu mój malutki; lecz trzeba, abyś wiedziała, że przyjaciele mego antagonisty, widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie czemkolwiek zbić i stracić, więc umyślili dwie rzeczy: 1-o abym ja jemu za tę improwizację oddał puhar, co byłoby niby uznaniem mego wasalstwa, — 2-o napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo, jakoby mi Ad.. powiedział, że nie jestem poetą. Z tego wszystkiego wyniknęły najgorsze dla nich skutki, a ja otrząsnąłem się zupełnie z tego ruchomego brudu, tak, że ich teraz wszyscy dyabli biora...

Trzeba ci wiedzieć, że Adam o tym kłamstwie, dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz mówił; ale powinien był wiedzieć i odeprzeć, on, który w improwizacji nie tylko mi przyznał to, co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że Ty mu sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on Tobie już wtenczas przepowiedział, że mnie wielka i świetna czeka przyszłość... Tem wziął mię za serce, i tego wieczora byliśmy z nim, jak dwaj bracia: ściskaliśmy się, chodziliśmy, opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... I, gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze. Po tem tłumaczeniu obwiniaj mnie, droga, że nie był podług twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem, ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy ścierpieć niesprawiedliwości... Zresztą bądź pewną, że moja kiedyś biografia będzie zupełnie szlachetną, choć teraz, kiedy idę po wschodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobny do siebie. Dostę, że przed malutkim moim <sup>2)</sup> uchyliłi czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu, a mnie smutno, że zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na niej..

Opisuję ci to z wielkiem znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w moim sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w mojem krześle ze sloniowej kości... Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za nie-

<sup>1)</sup> ze Stefanem Witwickim.

<sup>2)</sup> przed «Beniowskim».

sprawiedliwych uznali; wydrzeć im to siłą jest bardzo miło. Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę, jak szaleniec bardzo dręczony przez pewną osobkę <sup>1)</sup>, zrabani antagoniści moi zrobili koncylium, co ze mną robić — i, przekonani, że ja w niebytności mojej dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strażów uniknąć, postanowili wyzwać mnie na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze i przepowiedziałem nawet, wyjeżdżając z Frankfurtu, osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż, skorom tylko powrócił do mego pustego domku, smutny i rozpaczny, łając szalonemu sercu memu, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w III pieśni <sup>2)</sup>, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny.

Możesz się, droga, spodziewać, że przyjąłem z najmniejszą krwią to ostatnie... Antagonista mój wtenczas uczył, że ma cokolwiek słabe nerwy; naprzód zwlekał, a gdy ja nagliłem, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi, ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdezorganizowanego, kiedy ja przez pięć dni, bawiąc się, jak zwykle, z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie tego bynajmniej nie sprostęgi. A jednak wyznam ci, że te pięć dni, w których pisałem do ciebie, do niej.. i do Zyg., były mi bardzo gorzkie... Nakoniec, dnia naznaczonego, przespawszy noc najspokojniej, wstałem o 5-ej z rana, ubrałem się, zjadłem kilka ciasteczek i napiłem się szklankę starego wina. Potem wyszedłem sam, bo mnie mój sek.. miał czekać aż za miastem; ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupiłem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w rękę, i potem w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojej dręczycielce. Potem wyszedłem do kościoła, gdzie trafilem na same po skończonej mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużej i wesoły poszedłem dalej. Szczerze ci mówię, iż rzecz ta miała dla mnie powab jakiś rycerski i piękność. Ale los mnie zawiódł u kresu. Albowiem, przez traf nadzwyczajny, jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty, dowiedziawszy się o tem, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał... Po-

<sup>1)</sup> przez panią Bobrową. <sup>2)</sup> Wyśmiał w niej Słowacki Eustacheo Januszkiewicza i Stanisława Ropelewskiego, redaktora «Młodej Polski».



biegł więc do nich i, widząc, że bynajmniej nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekałem ich, widzę przybywających parlamentarzysty, którzy na przód mnie chcą wypróbować i, jeżeli można, do ekskus jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnej krwi: zacząłem lajać wszystkich, tak, że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy:

— Z kimże ty się chcesz bić? Czy z wiatrem? Oni odstepują...

Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko; poznałem, że do końca byli lisami. . i, zapaliwszy cygaro, porzucam ich wszystkich z wielką wzgardą... Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mnie do jednego z parlamentarzysty, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano, jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić... Przeprowadzono także mego antagonistę, któremu, rozplakanemu, podając rękę, powiedziałem:

— No, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tem, to trzeba zapomnieć na zawsze...

Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podzegli, teraz robią pierwsze awanse — słowem, wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonane ich, że jestem zawsze gotów poprzeć całą osobą to, co usta moje wyrzekną. Piszę to z takimi szczegółami tylko dla ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tem wszystkim milczeć i nigdy nie wspominać, chybaży z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moję.

Teraz pozostawałoby mi opisać ci wypadki, dotyczące się serca mego; ale na ten raz zamilczeć muszę, bo, prawdziwie, nie wiem, o czem pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre, bo wyrwało mnie z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tem ci napiszę, ale tylko dla ciebie. Chciałbym, ażebyś, droga, chowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszerszy ślad życia mego. Dziennika nigdy nie pisałem, a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody. Wysłałem więc wczoraj pakę małą, gdzie znajdziesz wszystko, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono: medalion w ramach aksamitnych i trzy w czerwonych, złotych sukienkach książki do nabożeństwa, także dwa wizerunki na stali. Spodziewam się, że to wszystko dojdzie i chciałbym cię widzieć, droga, w pierwszej chwili.

Niech Bóg czuwa nad tobą i opiekuje się; a odpisz zaraz, bo jestem dziwnie niespokojny o dzieci moje i o ciebie.

Całuję serdecznie. Chciałbym, aby to wszystko było ci na wiązanie, bo jeszcze dwadzieścia dni do twoich imienin.

Twój.

79.

*Paryż, dnia 2 sierpnia 1842.*

Najdroższa moja! Znów nowy dowód twojej łaski, a już ani słów ani lez mi nie staje na podziękowanie. Czasem dobrze twoja przeraża mnie, bo myślę, że ty swój własny ogródek obnażasz i że jesteś bez bukietów w domu <sup>1)</sup>; ta myśl jest mi okropną, okropną! Zaklinam cię na wszystko, szczerą bądź ze mną w tym względzie i nie dozwól, abym ja sobie kiedyś wyrzucił wzdęcie cierpienia. Pomnij, że dowiedziawszy się raz o tem, a nie od ciebie samej, ale od drugich, już nie miałbym jednej chwili w życiu niezatrutej, i z taką myślą dłużej żyćbym się nie odważył... Pamiętaj więc, droga, szczerą bądź; tak, jak ty o mnie, tak ja będę mógł dbać o ciebie — i pewny jestem, że Bóg by mi pobłogosławił... Bądź więc szczerą, zaklinam. Co do mnie, wiele nadziei zwiedłych bożą miłością i łaską ożywiła we mnie; już nie wyrzekam, ale ufam.. Otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztując nowego stanu duszy, zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nade mną.

Wszystko to podobne jest do snu i do marzenia, i wytlomaczonem być nie może. Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców ceglanych i słyszę bazylikańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwinic go nie można o niepodobieństwo... Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką lży zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangelią i łącz się ze mną modlitwą.

Na teraz nic więcej... Spodziewałem się, że Filowie wrócą, ale widać, że niema nad nimi zmiłowania się. Częściej teraz, niż kiedykolwiek, myślę o nich i śnię o nich.. Z temi snami, z temi myślami dobrze mi.

Dnie terazniejsze pędzę, jak mogę, aby minęły i cieszę się każdym jutrem. Rozumiesz więc, droga moja, że świat glansowanych rękawiczek i woskowanych podłóg zupełnie

<sup>1)</sup> bez żadnego funduszu.



zniknął z oczu moich. Bo cóż z niego można wydobyć? Jest to próżny teatr dla igrających myśli, dla słów ulotnych, a mnie trzeba dziś być wewnątrz człowiekiem, ile można, doskonałym i dobrym.. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić, najawszy sobie dwa małe pokoiki, wyłoczone południowem słońcem, bo w moim terazniejszym mieszkanku słońca mi braknie, więc w dnie zimowe smutno, a jak smutno, to myśl ponurzeje i latać nie może. Słońce jest jedyną moją niewolą: ono mię zmusza do migracyi ciągłych z ulicy na ulicę. Oddalę się więc trochę od mojej staruszki 80-letniej, sąsiadki terazniejszej, która już teraz nad tem ubolewa i ciągle zaprasza na obiady; zda mi się, że ci o niej pisałem. Jest to wdowa po jenerale dawnym, stara i bardzo opuszczona przez ludzi, nawet przez krewnych; bardzo dobra staruszka, karmiąca wróble, które tysiącami zlatują się do niej i często w moje okno zaglądają, swiergocąc.. Wizyta, jej oddana, jest pewną ofiarą, bo już trochę ślepa i głucha, ale ja z pewną świętością odwiedzam ją i mówię do niej z uśmiechem, bo wdowa i opuszczona.. Teraz nawet, ponieważ już dziś poczta nie odchodzi, pójdę do niej. Ona mnie pewnie najpierwej spyta, czy nie miałem listu od ciebie, bo tak się zawsze zaczyna rozmowa<sup>1)</sup>).

Choć czuję, że nie pisać nie mogę tak, aby ci to przyniosło radość, biorę jednak tę karteczkę, aby ci powiedzieć, że mi już bardzo, bardzo tęskno do ciebie. Marzę sobie, jak to my kiedyś zamieszkamy w skromnym dworku z owocowym sadem, jak będziemy mieli co wieczór kilku miłych przyjaciół, a czasem pójdziemy do żydowskiej szopy, gdzie przy tojowych świeczkach będą włóczący się aktorowie grać komedyjki, umyślnie dla ciebie napisane; potem przy księżycu będziemy wracali do domu, a ty się, droga, jeszcze będziesz śmiała z jakiego Hrycia lub Hawryły. Ja ci nawet Ambrożego z suką Znajdą tak w zwierciadle pokażę, a ty obaczysz wtenczas, jak przeszłość została świeżą i żywą w sercu moim.

Obaczysz, droga, że mi Bóg jeszcze da być twoim, a większego nad to szczęścia nie pragnę w przyszłości. Zda mi się, że czuję już teraz ciszę i szczęście tego przyszłego wypoczynku, a czuję także, że, gdybym inaczej żył, nie miałbym nigdy ani ciszy ani szczęścia. Iluż-to samotnych go-

<sup>1)</sup> Pani de St. Marcel z Chauveaux, której Słowacki poświęcił wiersz «Wspomnienie».

dzin trzeba było na przełamanie mojej natury, ile pracy, którejbym nigdy nad sobą nie użył, gdyby mi życie było zwyczajnym trybem płynęło! Może nawet nie umiałbym, tak jak teraz, poznać ciebie i kochać ciebie. Błogosławion niech więc będzie Bóg za to wszystko, co zesłał dotychczas.

Dlaczegoż, droga, listy twoje od jakiegoś czasu są tak głęboko smutne? Czy ty nie masz kolo siebie jednego garąco bijącego serca, któreby ci dodało nadziei? Jedź gdziekolwiek w pola, nad stawy podolskie, szukaj ludzi lepszych, jeżeli ci, co są blisko, nie są ludźmi, ale automatami; takie poszukiwanie musi się koniecznie odplacić. Ja sam poznałem, że ludzie, którzy ustami tylko gadają, a głową myślą, nic są niewarci i zaraźliwi są. U nas, ja wiem, takich pełno, ale być nie może, aby się i lepsi nie znaleźli. Weźmiesz to może, najdroższa moja, za próżny moral; niestety, w moim położeniu wszystko, co względem ciebie powiem, czężą gadaniną wydaje się, bo teraz nic czynić nie mogę. Ale nie sądź mnie, aż obaczysz — i wierz, że obaczysz, bo ja sam w to wierzę.

Bądź zdrowa, najdroższa; niech anieli boscy straż trzymają przy domku twoim!

Kończę ten list, bo muszę iść na obiad do panny Eglantyny i brata jej. Biedna to dziewczyna i prawdziwie warta litości, bo czasem bardzo dobre strony serca odkrywają się w niej, mimo niejake skwaszenie charakteru. Wczoraj mówiła mi, że kiedy Filie byli we Włoszech, i ja z niemi, to ona haftowała śliczną chustkę, aby ci ją posłać; wtem jam wyjechał, ona zaś, nie wiedząc, gdzie się Filowie znajdują, zniechęcona, w pierwszym smutku, że ci chustki tej posłać nie może, w ogień ją rzuciła, aby nikomu innemu nie dostała się.. Uściskałem ją za to za rękę serdecznie... Addio, droga!

80.

*Paryż, d. 24 września 1842 r.*

Od wielu lat nie byłem tak rozrzewniony ani tak dziękowałem Bogu, jak teraz, odebrawszy list od ciebie, najdroższa moja, w którym mi donosisz, że Filowie nareszcie wracają. Zawsze bowiem ta myśl, że ty sama jesteś, brzęczała mi, jak osa natrętna, w każdej prawie godzinie życia mego. I Filów mię los prerażał... Jak więc teraz szczęśliwy jestem, tego ci opisać nie mogę. Spodziewam się, że już razem jesteście, więc myślą i duszą łączę się z wami.



Zosia twoja<sup>1)</sup> tak przywykła do koczującego życia, że i teraz nie mogąc bez zmiany wytrwać, przeniosła się z jednej ulicy na drugą i porzuciła swoje dawniejsze mieszkanie, swoją starszkę sąsiadkę, wróble, przez nią karmione, i wzięła sobie kilka pokoiików, dalej wprawdzie od środka miasta, ale zato obszerniejsze i nawiedzane przez południowe słońce... Teraz więc jej weselej: klatka jej obszerniejsza, widok rozleglejszy, w zły i słotny czas może piętnaście kroków wzdłuż swoich pokoiików przemierzyć, i tak spodziewa się, chodząc, dumając, przepędzić zimę bez szwanku, nie doznawszy innej boleści, prócz tęsknoty za wami... Od wczoraj już siedzi w nowym koczowisku i widzicie, że od was zaczyna, bo mi pokoju nie dała, aż siadłem pisać o niej. Wyznaczyła już miejsce na ścianie na miniatyrę wasze i już myślą je sobie tęskną kreśli je na ścianach, bo tak dawno nie widziała już twarzy waszych kochanych! Tak dawno już na obce tylko patrzy, że, gdyby kamieniem była, to rozplacze się, ujrzawszy je choć w obrazku. Bóg wam zapłać, żeście pomyśleli o takich odwiedzinach. Jeżeliby Fil nic innego w ziemie nie robił, prosi go ona, aby jej wymalował kopię tego Chrystusa w czerwonej szacie i w cierniowej koronie, który dawniej wisił w ostatnim pokoju, i zwinąwszy go na walek, przysłał jej. Często ona sobie myśli, że gdyby tak, jak Fil, umiała kopiować, toby nic innego nie robiła, tylko, jeżdżąc po różnych stronach, zdjęmowałaby kopie obrazów i z tego miałyby chleb lekki i przyjemny — ale ona zakazała sobie wszystkich rzeczy — oprócz jednej, i tego się ściśle trzyma, całą duszą do swojego zatrudnienia przyłgnąwszy. Fantastyczka, woli się na girlandy bocianów, ciągnących nad morzami, patrzeć i płakać, krzycząc tak, jak one, na całe niebiosy. Tymczasem dzień po dniu upływa, a dla niej nic, i gdyby nie nadzieja w przyszłym życiu, byłoby z czego nieraz oddać się rozpacz.

Ale trzeba wytrwać! Nieprawdaz, droga moja? I ty to wiesz — a ilekroć przez Pana Boga myślisz o swojej wychowance, a nie myślą ziemską do niej dolatujesz, to wiesz dobrze, że tak, jak ona jest, tak być powinna. Próbowwała ona nieraz inaczej grać, ale już jest do innych głosów, jak zepsuta gitara. Pogodziła się teraz z wielkim swoim przeciwnikiem<sup>2)</sup>, z którym ją nieraz różnili ludzie, i on sam jej nie rozumiał; teraz zblżyli się, i dobrze im jest... Niedawno nawet przepędzili dzień bardzo miły, bo Zosia pojechała do

<sup>1)</sup> sam Juliusz.

<sup>2)</sup> z Adamem Mickiewiczem.

niego na wieś, do wielkiego lasu, gdzie on teraz z żoną i z dziećmi mieszka patryarchalnie, na grzyby.

Wielu innych także w tym dniu zebrali się, każdy coś z sobą wziął do jedzenia: ci, co mogli wziąć więcej, wzięli dla tych, którzy nie mogli; i tak pod ogromnymi orzechami na trawie, gadając i śpiewając, z patryarchalną prostotą przepędzili dzień, dzień jesienny, błękitny i czysty, jak kryształ, i bądźcie pewni, że więcej z wami myślą, niż z okolicami, które nas otaczają, byliśmy. Stos borowików, we mchach znaleziony, przypominał twojej Zosi dawne, dawne czasy i miejsca jodłami zarosłe; kilka bab i szynka i pieczenie na dywanie rozłożone na ziemi, przypominało *święcone*, ale święcone jakieś koczujących Tatarów, dziwne, jesienne i na prędcę jedzone, jakby przed podróżą do nieba.. Zapach takiego święconego inny jest, i gwar ludzi jedzących inny, i modlitwa, poświęcająca je, inna: trochę mniej radośna, niż tamtych, co kiedyś dawniej święcili.

Ale to wszystko są rzeczy, które was zasmuca, i Zosia mię za nie karci, mówiąc, że piszę dlatego, abyście płakali, a ja chciałbym was rozweselić na całą wieczność... tylko słowa znaleźć nie mogę tak świętego, aby się to stało. Tymczasem wiem, że gdybyś widziała Zosię, jak sobie wczoraj urządzała pokoiiki i znosiła graty swoje i w saloniku wieszala nowe firanki czerwone z białymi i przyglądała się po raz pierwszy w trzech lustrach swojego mieszkania, uśmiechnęłabyś się, widząc ją taką babą. Ale to są rzeczy, od których jej humor zależy, a humor dla niej jest, jak towarzyszeństwa małżeńskiego pożytku; trzeba się więc starać, aby zły nie był, bo inaczej piekło w domu. Zasmuciło to Zosię, że ty w liście swoim piszesz, jakoby ona już na zawsze chciała i myślała zostać i osiąść w domu obcym na komornem... Wierz, droga, że ona wróci do was, jak tylko zdoła się poprawić sama, bo teraz smutkuby wam swoim charakterem złym i nieujędzonym do domu naniosta, i chciałaby się rządzić, jak szara gęś, a wtemczas wybyście ją sami prosili, aby wyjechała precz nazad. Czuje to ona i pracuje nad sobą bardzo, bardzo, a czyni to podług pacierza, któregoś ty ją w dzieciństwie uczyła, prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń boską, miłość ludzką i o wszystkie rzeczy, które z chwałą bożą są.

Eglantyny zajazd skończył się nareszcie, a trwał przez cztery miesiące, nurtując mnie całym ciężarem urojonego do mnie koleżeństwa, i przyjaznej wdzięczności. Chciano koniecznie, abym po całych dniach, stosując się do parafiankiej ciekawości, do nienasyconej ciekawości, wodził imościankę po ulicach, sklepach, galeryach, wlaził po kręconych



schodach na kolumny, wieże i inne belwedery, o 8-cj już z rana był na usługach, a kładł się spać aż po odbytym teatrze — niekiedy zaś wyjeżdżał nawet za miasto na cały dzień dla zwiedzania okolic, które dla mnie wcale nie są ciekawe. Całej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł i wszystkie spaceru do trzechkrotnych na tydzień wieczorów zredukował; tak się jednak stało, że, nie uchybiwszy w niczem imości, oddałem jej te tylko usługi i te grzeczności, które się należały, i bardzośmy się dobrze rozstali... Został mi tylko na karku brat jej, bardzo ograniczona figura, kupiec, ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybym miał choć jeden ton duszy wspólny, choć dwie myśli podobne; a jednak i tak żyje.

Twój J.

81.

*Paryż, 1842. Imieniny. 17/29 listopada.*

Najdroższa moja! Wczoraj był dzień imienin twoich, który przepędziłem święcie i z wielkim podniesieniem ducha, pierwszy raz w życiu bez próżnej melancholii, a z prostotą boleści i serdecznym smutkiem. Poznałem albowiem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych, jako aktorowie, grający każdy swoją sztukę, smutną albo wesołą, ale dla chwały bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej, i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego, co mu jest polecono; a nie myśl, abym, tak będąc, był dalszym od ciebie: owszem bliższy jestem i mam ciągle twoje serce w moim sercu, dlatego więc piszę tak, abyś i ty, moja droga, miała szczęście tego pokoju, który jest we mnie. Jakoż odmieniło się już wiele na ziemi i jeszcze więcej odmieni się, a serca takie, jak twoje, pełne boleści i czucia, nie napróżno teraz są na świecie i nie napróżno nas rozdziły. Dotąd smutno nam było i gorzko, bo myśleliśmy, że jedynie dla kawałka ziemi cierpieć musimy rozłączenie i znosić tęsknotę — lecz teraz wiedz, droga, że nie tylko dla ziemi, ale i dla nieba cierpimy, a cierpienia tego nie uszlibyśmy, żadną drogą idąc; wszędy spotkałoby nas ono i zaszło drogę, aby się duchy nasze w nim oczyściły i nauczyły nowych a potrzebnych im cnót i wiedzy dalszych rzeczy.

Nie potrzeba zaś, abym ja ci mówił, jakie te cnoty nowe i te wiadomości są; zawołaj sercem i gorąco tych, którzy umarli, a są jeszcze sercu twemu najbliżsi, a powiedzą ci i rozwidnią wszystko, a będą to lepsi i świętsi nauczyciele, niż ja, któremu się należy u stóp twoich leżeć z pokorą i ze

łzami. Przebacz więc, najmilsza, że tak piszę, ale wiedz, że piszę po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył, bo rozumni wypędzają z domu Św., oskarżając o walenie tegoż domu przedtem i teraz, a boją się o siebie i nie wiedzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie prawdziwe w czystości i pokorze. Gdyby tak nie było, nie opiekowałby się Bóg widocznie tymi, którzy pracują.

Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać nowych, nowej, a wielkiej pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają, wynajdując różne fałszy i stawiają nam różne przeszkody... Wiele więc może próżnych ech dojdzie do ciebie; więc, jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, że się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na której mnie witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują; ale ja wiem, że mnie Bóg nie opuści, bom ja także nie opuścił żadnej pracy około świata, ale poznałem tylko drogę, prowadzącą do niej, i już nietylko głową, ale całym sobą wujuję, a najwięcej wnetrzem najczystszej czucia; a tak czyniąc, nietylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie<sup>1)</sup> i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę, i wiem, że go to raduje.

Zaklinam cię, droga, nie sądź mię zaraz po przeczytaniu tych słów, i nie smuć się, aż przyjdzie anioł i rozwidni ci to pismo, które inaczej wydawałoby ci się naśladowaniem i próżną egzaltacją, a ja fałszu teraz nienawidzę, i nie napróżno bym nie pisał. Owszem, wolałbym dawnym sposobem list mój usnuć, bo ty możebyś wolała nad memi dawnymi skargami płakać, niż teraz spokój mieć i widzieć mnie takim prostym. Ale w dawnym tonie moim była nędza serca, a tu jest zdobywane bogactwo i pierwsze garście wydane ze skarbu nowego.

Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi na mój dawny list z trwogą i z pewnym niedowierzaniem, myśląc, że ja się jasnowidzącym oddałem i w sny ich uwierzył; nigdy nie byłem tak nisko, aby mnie lada kto mógł wziąć za głowę — ale drgnięciu wewnętrznemu Duchu bożemu uwierzyłem i słowom prostym a bożym dałem się przekonać; inaczej nie byłbym gozdien miejsca mego na ziemi, i byłym względem Boga tym, czym jest sługa, który, od pana nabrawszy pieniędzy i podarunków, potem go opuszcza, kupuje wioskę i już dawnego

<sup>1)</sup> ojciec Juliusza, pochowany na cmentarzu wileńskim.



dobrodzieja widzieć nie chce, aby nie być upokorzonym. Dusza moja była pełna skarbów bożych od dawna, lecz nie było w niej miłości i dlatego sama jadła wewnętrzną swoją, nie mogąc skądinąd brać pokarmu. I tak będzie jeszcze z wielu, którzy są bogaci w Duchu, a nie pojmą, dla jakiego celu wielkiego wzięli talenta... ale z nich użytkują bez zastanowienia się, szukając tylko jak największego procentu. Otóż Duchy tych ludzi podobne są do snów, a Duchy boże są większej rzeczywistości i twórczości, niż ciała widome i dotykalne.

Zaklinam cię, droga, jeszcze raz, weź ten list z jak największą prostotą serdeczną i podziękuj Bogu, że zaczyna znów nas ubierać, jak lilie łączne w piękność swoją czystą, a razem daje nieśmiertelność i przybliża do siebie. A teraz niech słowo miłości mojej przetrworzy się tobie w pociechę i będzie z tobą, aż boże obietnice spełnią się, albowiem pewno jest, że wszelkie uciski przetrwamy. Co uczujesz po przeczytaniu tego listu, ja czuć będę: ufaj więc i wesel się, abyś mi nie ujęła wesela.

Jul.

83.

*Paryż, 18 stycznia 1843.*

Najdrożsi moi! Prosiłem i błagałem, abyście sercem, nie zaś rozumem, wzięli słowa moje. Jakże mię więc boli boleść wasza i ta nieufność w świętości moich przedsięwzięć, w opiece bożej! Będę-li wam pisał, że świat się zmienia, że garstka ludzi zaczyna Duchem czystym i boskim spełniać, a raczej gotować się do spełnienia Jego woli, że to nie sen żaden, ani guślarstwo, ani magnetyzm, ale proste obudzenie boskości w sercach przez człowieka czystego i bożego <sup>1)</sup>, który prowadzi nas, małych i pracujących teraz nad sobą, abyśmy się zmienili w sobie, stworzyli Duchem i cierpieniem wewnętrznym to, czego nam potrzeba, ten cel, wzniosłej pojęty, niż wszystkie dotąd cele? Nie wątp, ty, która mnie urodziłaś, bo wszelkie drgnięcie ducha mego powinno ci się dać uczuć, wszelkie podniesienie podnosić, wszelka ofiara cieszyć. Myślicież wy, że to pół śpiąc, pół bawiąc się, można być wielkim człowiekiem w oczach Boga?... Błuznierstwo piszę, ale jest napisane. Wielkim—mówię, to jest godnym opieki Jego, prawdziwym narzędziem, przez które On swoją wolę spełnia...

<sup>1)</sup> mowa o Towiańskim.

Nie przydawajcie więc zimna do zimna, i oporu światowego do oporu; dosyć jest ludzi, strzegących mizernych swoich pozycyi i dumy własnej i czci światowej... i fałszów... ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani...

Nie mówię, aby mi to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i z częścią dumną ducha mego, który się ułożył i ustroił podług świata — ale ufam, że mię i modlitwy wasze nie odstąpią, i strach o mnie nie będzie trwożył, albowiem czegoż mi dowiedziecie? Że oto nie jestem w oczach waszych i w nadziei waszej takim, jakim być chcę — że oczy wasze nie patrzyły nigdy na ludzi pełnych i nie przeczuwają, jacy ludzie być mogą...

Niczym więc nie żądam od was teraz, tylko wiary w bożą moc, miłość i sprawiedliwość. Niczego od ciebie, droga moja, tylko, żebyś mię z zupełną ufnością oddała Bogu i poddała się zupełnie Jego woli, a ja ci, rozczulony aż do łez, piszę, że mnie nie stracisz, ale owszem zyskasz i całego mieć będziesz. Gdzież jest albowiem moc, któraby ducha nieśmiertelnego zatraciła i nie oddała go kochającym? Gdzie taki fałsz być może w tonie miłości, który się począł w łonie bożym, a spełnia się na ziemi? Egoizm tylko duszy rozdziela ją na wieki, kiedy oziębia i do gorących już powrócić nie może; a mając wiarę, mięcie i cierpliwość, albowiem niecierpliwość wasza zatrwaza i odejmuje radość i spokojność duchowi memu.

Jakże będę pracował, kiedy co chwila będę myślał o tem, jakby wam dowieść, że postępuję, że lecę ku wam, a nie cofam się od was. Rozlewanie się Ducha mocniejszego na duchy z razu jest powolne, ciężkie i niewidoczne; listki na brzożach waszych zadrżą, bo wiatr poczują, ale stare, zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrząśnienia... Tego szmeru listków, tego zadrżenia serc gorętszych chcę, a niczego więcej na teraz — i od tych, co czują, chcę, aby mocniej i głębiej poczuli, a sercem siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda, to jest na ludzi prostych, czujących, na nieprzyjaciół wszelkiego fałszu i wszelkiej rzeczy poczętej przez nienawiść, albowiem ta rzecz uleż musi przed tą, która będzie przez miłość poczęta, a wtenczas dopiero miłość dla sprawiedliwości bożej będzie triumfować...

Czuję, że to wszystko jeszcze będzie niezrozumiane, jeszcze za egzaltacją wzięte, ale wam inaczej nie mogę wytlómaczyć siebie. Dzieci moje <sup>1)</sup> powiedziały wam, że cierpiełem.

<sup>1)</sup> Książki



Sąd pierwszy o nich trochę mnie przeraził i zasmucił. Drugie słowa wasze podniosły mnie. Są położenia, że trzeba z miłości własnej zrobić ofiarę, to jest nie ukrywać się z niczem i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością... Otóż dokomplementowałem siebie czynem, to jest, spotkawszy mego przeciwnika <sup>1)</sup> na wyższym stanowisku, podniesionego ku prawdzie, prawdziwej bożej, już nie w jezuityzmie podałem mu rękę — i teraz jesteśmy razem, jesteśmy ja i on i jeszcze trzeci... <sup>2)</sup> równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie... Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne.

Nie miej więc, o droga, żadnej bojaźni o mnie, bo, jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mię nienawidzić nie może, bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i musza to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcej moich słów nie słyszeli. Dawne moje postępowanie z ludźmi, zimne i pełne powagi, zrobiło mi wiele szacunku, prawie ogólnego, ale na tem przestać nie można, ani lękać się na chwilę utracić nawet nieco pochlebnej opinii, mając przed oczyma jedyną prawdę i drogę bożą — i tybisz mi tego nie radziła.

Nie dręczcie się więc, i ty, Filu drogi, wystawszy pługi twoje na pole, zamyśl się głęboko pod wiejskimi lipami, wyrób w sobie spokojną miłość, miłość jak największą, ale pohamowaną, posągiem prawie będącą: niech ludzie nowego i różnego od siebie człowieka poczują w tobie; wylej z siebie to, co świat dał, a wszystko staraj się wyczerpać z głębi serdecznej ducha, z ducha, który jest boży, a podług Św. Pawła, jeśli się z Bogiem łączy, jedno jest. Z Ducha tego wyprowadź swoje obowiązki: skupiaj się i pierwej uczuj miłość dla człowieka, nim zaczniesz z nim gadać; wiedz zaś i to, że nie sam Duch twój zbawi cię, ale odpowiedzialność ma za wszystkie duchy — wypełnienie więc misji twojej musi być w związku z całą masą duchów; wiedz i to, że cię Bóg chłostą zmusi do zrobienia tego, czego sam nie wypracujesz i czego się sam nie domyślisz... Wierz, że złączony twój Duch z bożym, twórczym jest, jeżeli czysto, a nie dla siebie usiłuje stworzyć; a tak pracując, o Filu, wierz mi, że będziesz choć z sobą tylko pracował, nie napróżno pracował; a nie waż siebie lekce, bo teraz jest pora, która pokaże, że każdy człowiek ma dar swój własny, równie potrzebny i wielki

<sup>1)</sup> Adama Mickiewicza. <sup>2)</sup> Seweryn Goszczyński.

w harmonii ogólnej — ani grzesz tą fałszywą pokorą, którą mają ludzie, sądzący się za obojętnych Bogu, albowiem to rodzi oziębłość i zniechęcenie, które Bóg karze... A wierz sercu memu, że nie stracisz tych godzin pracy wewnętrznej, a ujrzyś sam, jak rósć będziesz, i spokój twój wewnętrzny wróci, i uczujesz moc nową, ani się będziesz kwasil światem, ale go ukochasz, jak kapryśne dziecko, widząc to, co w nim będzie człowiekiem.. Daruj mi, że piszę jak nauczyciel, ale ty wiesz, że z miłości piszę i nie dla nauczania piszę.

Blągam cię więc, niech ci żaden dzień nie będzie obojętny, a praca wnetrzna podnosi co dzień ducha, a modlitwa niech będzie sposobem do podniesienia ducha... nie zaś celem, jak to jest u ludzi formy, którzy modlitwą zaspakają nieczynne serca.. Modlitwa prawdziwa prosi Boga, aby pokazał drogi do spełnienia woli Jego, aby dał niezachwianą moc i spokojne podniesienie serca nad serca ludzkie. O to cię blągam z największym wysileniem Ducha. I Sylk moją proszę, aby ci pomagała w pracy, i oboje was tak ściskam, jakbym już was widział czekających mnie na ganku domu waszego z otwartymi ramionami... A przed wami, jeszcze u kołowrota wiejskiego, widzę tę, której uścisk jest najjaśniejszym marzeniem i najweselszą nadzieją w przyszłości pracy mojej.. Bóg z wami.

JUL.

84.

*Paryż, d. 18 marca 1843.*

Najdroższa moja! Nie tracąc chwili, odpisuje, abym cię wyprowadził z trwogi i uspokoił, bo pojmuję, ile cię taki straszny domysł zatrwącać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem... Oni — to faryzeusze, miłość udający; obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po której tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło... Żądza prawdy, sprawiedliwości, wiary, zawsze trwała w sercu mojem, stąd moje nieraz gorzkie urąganie światowi, stąd rozpacz i samotność serca, albowiem sądziłem, że daleką jest epoka, w którejby tłum cały lub nawet garstka ludzi mogła się zebrać w Imię Boże i otrzymać od Niego obietnicę, że w pracy im dopomoże, wydrzeć, że tak powiem, nowe przymierze z Panem Panu samemu... Otóż Bóg przyspieszył tę porę, ludzie stanęli. Opieka boża okazuje się im widocznie, a oni według myśli Pańskiej tworzą w sercach swoich nową ojczyznę, gotowi na wszystko... lecz Bóg pokazuje im tylko pracę dnia każdego, a na każde jutro zapuszcza zasłonę.



Kto więc zapyta się tych ludzi, cóż wy zrobicie — nie otrzyma żadnej zaspakajającej rozum jego odpowiedzi. Możesz nie wiedział nigdy pracy jutra; wiedział tylko o celu, do którego dążył, a za każdą przeciwnością musiał się znów pytać Stwórcy o głos lub wewnętrzne natchnienie... Tak jest z nami. Chór duchów umyślnie przeznaczonych do wielkiej pracy rodził się Panu — po różnych stronach rozsypany... stąd tęskne i rozmarzone, wy, Matki, widziałyście dzieci wasze i wy same byłyście pełne tęsknoty, podobne do Nazaretanki.

Otóż, gdyby te dzieci skończyły tylko na snach i marzeniach, byłaby to jedna z najgorszych komedii dni terażniejszych — ale widzicie, iż to są dzieci prawdziwe nowego świata i prawdziwi słudzy boży, którzy się gotowali przez cierpienie do wielkiej radości Ducha... Niech więc wam słowa moje nie wydają się smutne, ale będą, jako kolenda małych chłopczyków, którzy przychodzili pod okna Dziaduniowi, śpiewającemu także w piekarni: Chrystus się narodził... Piekarnią taką jest dziś Ojczyzna, a my stoimy pod oknami. Miejcie wiarę!

Nie odmieniło się nic w wewnętrznym życiu moim, oprócz smutku, który gdzieś uleciał i wpuścił więcej, niż nadzieję, do domu mego. Przybyła także większa prostota, mniej zachęć ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy *dobrego*. Duch mój się podniósł, i ciało nabrało więcej mocy tak, że mnie ludzie zaledwie poznają. Nie dziwię się więc, że wy, widzieć mnie nie mogąc, z samego głosu widzicie zmianę we mnie: zmiana albowiem jest realna i zupełna. Bóg mnie obronił od tej strasznej godziny, w której przychodzi rozczarowanie na ludzi marzących o rzeczach anielskich — albowiem widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych. I ta mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata. Każdy czyn na tej drodze nie trudzi ale pokrzepia... Wczora, droga moja, jednemu z takich czynów, związkowi serca naszego, poświęcił Bóg srebrną tęczę na niebie, która przez ćwierć niebios rozwlekła się, jak ogon obrzymiej komety. Cudowny znak dla nas, wiedzących, co znaczy — dla innych prosty meteor. Miejcie wiarę! I tak będzie ciągle, że nas nie rozumieją ludzie, aż uczują Ducha naszego; a wtenczas ukochają nas na wieki...

Lecz teraz na nieczystych i na leniwych ludzi spada twoga wielka, albowiem czują, że tracą wszystko, co pozyskali, że przy nowem słońcu bożym wielkość ich wyda się śmiesznością i małością; wszyscy więc są zatruwani i nie wiedzą, co mówić o nas. Ale ty mi ufaj, droga, że ja twej

miłości matczynej nie wystawię na szwank, ani ją zamienię na wstyd matczyny; nie lękaj się więc o kroki moje światowe, bo te są proste, jak gdyby były chłopka krokami; nie lękaj się o serce moje, albowiem, gdyby je kto chciał ranić, znajdzie wiele serc podobnych, broniących, i wiele piersi, które tak biją, jak moje... Kiedy więc, sam idąc po świecie, nie doznałem nieszczęścia, to teraz bezpieczniejszy jestem, niż kiedykolwiek, i rozumniejszy, bo Bóg nade mną. Przeszłego życia mego nie żałuję, ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem, i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi wykwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym, ale dzięki Panu, zem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej, a to, co zostało, nie będzie stracone.

Droga moja! Trudność mam wielką w pisaniu tem, albowiem nie jest to pisanie i uwiadamanie ciebie, ale przelewanie Ducha, który mnie ożywia, w twego Ducha. O czemżebym mógł uwiadamiac?

Nic się jeszcze około mnie ani ze mną nie stało odmiennego: mogę nawet powiedzieć, że nic mi nie grozi, chyba te próby, które sam Stwórca zesłał na mnie, a najdotkliwszą z tych prób byłoby zesłnięcie twoje i twroga twoja o mnie — bo cóż ja mogę zrobić abym się uspokoił? Zdrów jestem, pełny mocy Ducha, pełen młodości; często w uczuciach czuję nawet tę woń, która mię, dzieckiem, owiewała; to są zyski nowego stanu duszy i nowej służby bożej, którą odbywam w Duchu; strat zaś jeszcze żadnych nie poniosłem, a ofiary, które z Ducha dałem, uradowały mnie i podniosły... Tak będzie ze wszystkimi, którzy się dadzą zagarnąć i owionąć chmurą Duchów naszych: mimowolnie uczują się szczęśliwsi i przeanieleni i pełni nowej mocy...

Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzej raczył spełniać swoją łaskę dla świata, i przybliżyć czas odkwit; każda godzina bowiem teraz jest ważną, a lenistwo Ducha grzechem jest. Gdybyś ty się więc opierała woli bożej, droga moja, prosząc go o inne dobro dla mnie, niż to, które on Duchowi memu przeznaczył, modlitwy twoje możeby mi przyniosły niepokój i nieszczęście... Zgódź się więc pierwej z wolą bożą, a potem proś o dary Ducha Świętego dla nas wszystkich, a tak najpewniej otrzymasz i połączeni będziemy nawet na ziemi...

Mówię wam, że nagrodą moją jedyną jest prosty domek pod lipami i miłość świata, która go nam ogrzeje w dni zimowe. Ufajcie, a to wszystko mieć będziemy... I ty, Sylko



moja, prawdziwa siostra moja, będziesz się radować z nami więcej, niż kiedykolwiek na łąkach nad Wilenką przy dawnych zorzach... Albowiem czas jest, że wszystko odkwita i Duchem zdobywa nowe szczęście...

A teraz, abyście porównali, co jest moja jasność teraz, a co był mój smutek dawniejszy, posyłam na ostatniej karcie wiersz, opisujący.. Nie, po rozważeniu widzę, że go nie można posyłać i lepiej jest ostatnią kartę zapełnić czem innym.. Otóż więc winszuję wam Wielkiejnocy.. i wiosny. Ja mam teraz pod oknami moimi balkon, i zamierzam sobie sadzić kwiaty na pamiętkę twoją, droga moja; mam także zbywający pokój, który przyjął ode mnie jeden z niepospolitych przyjaciół<sup>1)</sup>, jeden z posagowych ludzi, jeden z tych, na których ramieniu można się oprzeć śmiało... Przez ścianę go mając, czuję się weselszym.. Trzecim szczęściem moim jest słońce, zazierające mi ciągle w okna. Słońce więc, przyjaciel, kwiaty na balkonie i zaufanie w opiece bożej — oto są rzeczy, z których się przed tobą chwalebę i chcę, abyś się ze mną razem ucieszyła... Oprócz balkonu i kwiatów wszystko ze mną będzie, gdziekolwiek ja będę. Nie wystawiaj więc mnie sobie inaczej, tylko w promieniu słońca złotego, z przyjacielem i z Bogiem wchodzącego w sieni twoje na jaką nową Wielkanoc. Lecz żadnym ślubem nie będę związany, a jeżeli ty mi, droga, przygotujesz jaką dobrą żonę i za rękę ją wprowadzisz i posadzisz przy mnie przy wielkanocnym stole, nie odwrócę się od niej zmarszczony, chyba że się ona zmarszczy, widząc mnie cokolwiek podszarzałego na służbie bożej żołnierza..

Jeżeli więc to będzie jaka byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady i pod kolumnami ateńskimi, i z przeszłym Julem niech się żeni, bo teraz niejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca. Lecz to szczęście ziemskie jest tylko podrzędną rzeczą, i wiedzą o tem wszyscy, którzy tylko za szczęściem gonili i którym ten owoc w ustach zgorzkniał — albo ci, którzy go otrzymali i dotąd cierpią... O, jakże mi śpieszno do tej chwili, w której będę mógł całym Duchem przelać spokój w was i być prawdziwie w mojej rodzinie... Teraz nie piszę wam o ludziach, o których wieści mieć chcecie, bo nic o nich nie wiem, a nie chcę listu tego opóźniać, wiedząc, jaka być musi niespokojność w sercach waszych... Proszę, radujcie się i weselcie, albowiem ten świat, co się we

<sup>1)</sup> Goszczyński.

mnie narodził, rośnie i będzie waszym; i to spełni się za mały czas... Niech was Bóg strzeże.

WASZ JUL.

85.

Parýż, d. 5 czerwca 1843 r.

Dlaczego wam się listy moje wydają tak niezrozumiałe? Dlaczego ja sam się wam wydaję taki zmieniony? Dlaczego silniejsze uderzenie serca mojego dla rzeczy boskich przeraża was? Czyliż rodzina nasza nie dosyć odebrała nauk z ręki Boga? Któreż z nas znalazło szczęście, szukając go zwyczajnymi sposobami, podług prawideł teraźniejszego świata, na ziemi? Czy Jaś, którego głowa, pełna błysku i nauki śpi teraz w dębowym lesie pod konwaliami? Czy Fil, który tyle razy na wsi spokojnie osiąść próbował, jak wróbel, co usiłuje siadać na kłosach? Czy Sylli, taka teraz rozsądna a taka dla mnie kochana, której dzieciątko Bóg wziął i już nie odda? Czy ty nareszcie, droga moja, podobno najbiedniejsza z nich wszystkich? Lękaj się, droga moja, bo teraz najstraszniejszą nauką byłaby garść prochu mego i puste echo, któreby zaczęło gadać po górach imię moje...

Lecz tak się nie stanie, bo ty zaufasz Bogu i zgodzisz się z wolą Jego... Chcielibyście, abym był, jak tłómacz *Dziwicy Jeziora* i *Korsarza*, który chodzi po obiadach, tłómaczy poetów i skarży się na oschłą rzeczywistość — a Sylli mu potakuje wykrzyknikiem: «Ale gdzież bo i ta ciągła poezya?» Otóż poezya ta jest w ciągłej młodości ducha, który gdy zaśnie, trzeba go z najwyższym wysiłeniem budzić, krzepić, podnosić — a potem działać podług niego w każdej, choćby najmniejszej okoliczności.. Poezya taka nie umiera, jeżeli cel, do którego duch dąży, jest boży — entuzjazm zaś dla rzeczy fałszywie zrozumianych, niedość wysokich, gaśnie i zostawia po sobie śmiertelną nudę.. Wierz mi, najdroższa, że ja wiele na tej drodze prawdziwego entuzjazmu mam do wypracowania i do spełnienia — i wtenczas dopiero, kiedy będę pełniejszy, będziesz mogła prawdziwie uradować się ze mnie. Nie słuchaj więc tego, co świat mówi, ale czuj mnie sama duszą i sercem. Ty nie wiesz, jak mi to wspaniałe, to ciągle wspomaganie duchem pomoże nawet realnie na ziemi...

Otóż znów piszę tak, jak nie chciałaś, abym pisał; ale cóż ja ci powiem o życiu mojem, o zamiarach moich, ja, który z każdym dniem odbierać muszę pracę moją w natchnieniu i nie wiem, co mi jutro czynić wypadnie, bom zerwał



z wszelką systematycznością. To czuję tylko, że na tej drodze niema niebezpieczeństwa, i że ci, którzy się boją o mnie, grzeszą, i nie wiem, na co chcieliby mnie zachować i ubalsamować w myrże zdrowego rozsądku. Boże, jak ja muszę was łącać, ja, który was tak kocham i tak czynię, abym dla was czynił... i wasz był zawsze...

86.

*Paryż. d. 28 lipca 1843 r.,*

Najdroższa moja! Wyrzucam sobie, żem kilku dniom dał przejść po odebraniu drugiego z twoich listków — i dotąd nie odpisał. Ale wiedz, że ja pisać nie mogę zawsze i o każdej porze; dzień, w którym piszę, już zupełnie musi do ciebie należyć, więc zwykle, kiedy mię cokolwiek rano zaskoczy, już się nie mogę zebrać do pisania. Ale poco te wyrazy? Ty wiesz, że to nie są zwyczajne wymówki, ale prawdziwy ból sumienia, który mi je dyktuje. Bogu niech będzie chwała, że cię czwarta ewangelia po Wielkiej Nocy natchnęła wiarą i przyniosła pewne uspokojenie. Jakże ty, droga, lękać się mogłaś o duszę moję? Czy ty nie wiesz, jak my podobni jesteśmy duszami do siebie? Więc nie wątpię, że skoro się dobrze, głęboko wpatrzysz w siebie, ujrzyś to, co się dzieje we mnie, i, zamiast opierać się, będziesz mi pomagać — bo wyznam ci, że to jest trud nad trudy owo wymiatanie serca swego ze wszelkich brudów, owo oczyszczanie wewnętrzne człowieka, tak, aby tworząc innych ludzi podług siebie, był pewny, że dobrze i dla Pana Boga pracuje. Do takiej się ja pracy wziętem i wielu ze mną braci. Wiara przychodzi nam w pomoc, a jasne widzenie pośmiertnych rzeczy, to jest rozwidnienie pozatrumniane losu naszego jest prawdziwym cudem nad tą epoką.. Ty wiesz, droga, ile nikłych marzeń snulo się nam po głowie, kiedyśmy się zagłębiali w tę mgłę, pełną melancholii, w którą kiedyś wejść musimy i zniknąć... Otóż wiele z tych myśli przelotnych było prawdziwemi natchnieniami; odrzucaliśmy je, nie śmieliśmy wierzyć, sądząc, że są grą naszej imaginacyi, a chociaż spotykaliśmy się z temi myślami i w innych ludziach, myśleliśmy, że to wszystko są tony fałszywe. A któż tak śnił? Oto piękniejsze tylko dusze, które zwano poetycznemi lub fantastycznemi...

A teraz... człowiek jeden jaśniej widzący rzeczy boskie <sup>1)</sup>, odkrył niezgłębioną prawie czeluść przyszłości, w której

<sup>1)</sup> Towiański.

wszystko to się znajduje, cośmy śnili, ale logicznie powiązane, ale religijnie.. Więc i ty kiedyś tam różyczki twego ogrodu zobaczysz na tym pniu, i ja gwiazdy moje już zobaczyłem... Bo świat jest cały fabryką ducha, wyrabiającego w sobie miłość dla Boga—więc wszystkie stworzenie ma to za cel, a nie kończy się to na człowieku, ale idzie wyżej, i tak kolumna ta duchów kończy się na najczystszych, na najbardziej wyrobionych, najwięcej miłosnych.

Więc, droga moja, można nie iść do celu bożego, ale bawić się na świecie, robiąc różne rzeczy—ale życie takie nic nie pomoże. Można się wrócić nawet, ale życie takie jest grzechem. Piszę to, droga, dla ciebie i proszę, abyś tego imaginacyą nie brała, ale starała się uczuć sercem—i wypracować — a to ci pomoże, bo obaczysz wielką sprawiedliwość bożą, która nieszczęść i ucisków na to używa, abyśmy poznali, czego chce od nas. Wystaw więc sobie, że duch każdy ma swoją misją na ziemi, że duch każdy zawiązuje stosunki z podobnemi duchami bez ciała już będącemi, które także podobną misją mieli i o dokończeniu jej dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z niemi, a one wtenczas nam dają natchnienia, a według naszej wiary i czystości coraz wyraźniej je mówią do serc, a potem nieraz do uszu i oczu... Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami, i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłumaczyć, to jest wlać go w wiarę naszą. O, uczuj to, droga, i wypracuj, a obaczysz, w jakiej my wielkiej Rzeczpospolitej żyjemy; obaczysz, dlaczego jam po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nie złego nie stało: bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny inaczej; wszakże dachówka spaść może i zabić człowieka...

Droga moja, wierz mi, że najmniejsza rzecz nie jest trafem, ale dopuszczeniem bożem i potrzebną do wielkiego celu, tym zaś celem jest sprawa Jego święta, to jest postawienie całej ludzkości na wyższym szczeblu, gdzieby wszystko z miłości płynęło. Wypracuj i to, a obaczysz, jak wielkie odmiany w narodach zająć muszą, a narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć, bo wszakże niewiele mają do porzucenia, a serca przeboleła są bliższe Boga... Ufaj więc, ufaj więc, i całą siłą i całą miłością bożą wołaj tej chwili, którą On podług wołania ludzkiego, a w braku wołania i sam ze swej litości przyspieszy...

Co do mnie, wierz, droga, że tak, jak było, niewiele już miałem roboty na ziemi — teraz zaś robota jest za wielka dla mnie; czuję całą pokorę ducha przed tą Sprawą, ale nie upadam i uzbrajam się w cierpliwość i w spokojność mocy.



Komu serce uderzy dla Boga, jest z nami — a wkrótce cały świat będzie z nami. Z idei, która nam w sercu jak iskierka zatliła się, można wydobyć wszelką mądrość na obalenie mądrości teraźniejszej świata... Choć jeszcze krótko ona gości we mnie, a już wiele rzeczy widzę lepiej, niż je dawniej przez teleskop i mikroskop widziałem... Cały świat mogę podług niej sądzić i całą naturę, albowiem wiem, na co jest świat i natura, bo czuję, że tę naturę chciałbym podnieść przez podniesienie się ducha i oddać ją całą Bogu w jednej modlitwie... A ty, droga, bądź prawdziwie jak *imię* twoje zdrowiem moim i siłą moją: co ranka pomyśl, ale bez płaczu, tylko podniesionym do Boga duchem, poczuj wolę jego, poczuj i mnie razem i nas — łącz się z nami, a to westchnienie gorące i silne, z głębi serca, nie z rozmarzonej imaginacji wyrwane, wiele może, niezłamanego złamie, i mnie samemu doda siły... Ach, i tak czuję nieraz, że ty się do Boga wznosisz i o moją pomyślność modlisz się, ale módl się o moc moją, o przyłanie mi ducha prawdziwego — a wtenczas, wierz mi, że cały świat duchów ruszysz...

Jak szalony, piszę prędko, chcąc, aby jak najwięcej ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzać, żywić ciebie, rozmiłowywać w Bogu, który tak jest sprawiedliwy i miłośny! On mię wodził po kwiatnych drogach i przywiódł do celu, nie katując mnie cielesnie, ale łagodnie prowadząc; On staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktownie przypomina z dawnych żywotów (ludzie to nazywają zdatnością do czego, owe przypomnienia) — On pozwoił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co idą za mną... Otóż to są dary, na które jeszcze wielu ludzi nie zasłużyło... Ci, choć usłyszą o prawdzie, nie poczują jeszcze i nie uwierzą, bo, kto nie gotów, aby uczył, ten uczuć nie może, i byłby to największy cud duchowy, gdyby uczuł... Nie dziw się więc, droga, że wiele ludzi jeszcze odepchną od siebie te rzeczy boskie, że będą jeszcze je brać za egzaltacyą, nie wiedząc, że egzaltacyą prawdziwa Ducha bożego jest celem, nawet wyrabiającym się już w kamieniu.

Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych: bez ładu bowiem i z przeladowaniem być muszą. Ale cóż robić? Ty dobra, ty miła jesteś wielu dobrym duchom z tych, co już poszli ze świata, będziesz więc miała wielu tłumaczy i tych, którzy prawdę potwierdzą; a prawdą jest, że się Pan Bóg nad nami już zlitował i, nie-

szczęściami wycisnąwszy z nas ton swój, już teraz głuszyć go nie będzie, ale dopomagać i wspierać... W duchu my nowym już zaczęliśmy nową ojczyznę, a czujemy, że ten zarodek pomimo całej natury oporu rosnąć musi i oblekać się w ciało i być coraz większym świadectwem o podniesieniu na jeden jeszcze szczebel ducha ludzkiego na ziemi... Próżno bowiem tego co my czynimy, żądanoby od dawnych księży i świętych, którzy jeszcze z ciałem odbywać walkę musieli; my już tylko do zwyciężenia mamy niektóre nieczyścioci ducha naszego, więc już możemy być użyci do budowy; jaśdo nas ziemskie nie znęci.

A teraz Ten, co opowiada słowo Pańskie, jest czysty, do-bry i silny; taki tylko duch mógł tyle naszych serc sprowadzić, tyle tonów połączyć. A sprawa boża nie mogła dziać się przez książki, ale przez żywego posłańca. Mam wiarę, że wkrótce u was wszystkie piękniejsze duchy zadrżą po kątach, jak arfy eolskie, gdzieś po altanach pochowane. Niespokojność je ogarnie. Oczekiwanie czegoś urodzi się mimo wiedzy, a tymczasem ludzie z kości i stalowych sprężynek, zegarki te społeczeństwa, często stojące, grać wam będą zwyczajne kuranty, od wieków słyszane na świecie o zdrowym rozsądku, rozważde i rozumie... Tymczasem garstka tu ludzi z pomocą bożą pracuje... A podług Św. Jana Chrystus mówił: *Ojciec mój pracuje dotąd i ja pracuję*. Otóż ta praca jest teraz panią i królową naszej pracy, i tak wszystko podnosi się aż do wielkiego «aleluja!»... Ciesz się, droga, i wyprzedź radością leniwych nawet w radości, a potem umiłuj Boga, za-żądawszy zupełnie woli Jego, i tylko woli Jego... I pracuj, abys ją zrozumiała... Oto jest list ducha mego do ciebie, du-cha, który cię jeszcze najmocniej z zamilowanych na ziemi duchów miłuje...

Bądźcie spokojni. Cebulki, 5 <sup>1)</sup>), odebrałem... Makatka obudziła we mnie wielką pożądlivość; przyszlj mi ją, droga, przez okazją pierwszą. Przez Hausnera także można. Przesyłki od niego do mnie dylażansem niewiele kosztują, ale w takim razie lepiej zaadresować do Eglantyny, bo się uniknie opłaty na granicy i trudności. Miniatur nie odebrałem jeszcze. Od Zyg. <sup>2)</sup>) nie mam także żadnej odpowiedzi. Zosię B. <sup>3)</sup>) pocałowałem w rączkę, że o cukierkach napisała i tem trąciła w echowe drzwi domku twego tak, że aż zagrały, jak denko skrzypiec.

Zresztą wszystko dobrze i będzie coraz lepiej. Wkrótce, zda mi się, nowe dziecię w świat wyszłę, gdzie jedna z osóbek

1) pieniądże. 2) Krasieńskiego. 3) Bobrownę.



chrzestnych nosi imię twoje <sup>1)</sup>. Może też dziecinę tę prędzej zobaczysz, niż inne. Sylkę i Filka ściskam; jeżeli co było w liście moim złego, niech przebaczą, bo ich szczerze kocham i często myślę o nich; lecz kiedy zobaczę Sylkę, to widzę, że znów będę musiał z nią dysputować o świecie: spodziewam się, że przedyskutuję i rozkocham ją w wielu rzeczach.

Bądźcie zdrowi! Bądź zdrowa, droga! I nie smuć się, ale się wesel. Bo na tej drodze, na której jestem, niema innych kwiatów, jak nieśmiertelne i nieśmiertelnie wesołe. Bądź zdrowa!

87.

*Paryz, 2 października 1843 r.*

Dawno, najdroższa moja, nie miałem listu od Ciebie i sam nie pisałem długo; sędzę, że jedna musi być przyczyna w spóźnieniu się naszych listów. Ty zapewne pojechałaś odwiedzić Filów, ja także sprawilem sobie rodzaj wakacy i miesiąc cały bawiłem w małym miasteczku Pornik nad Oceanem, gdzie prawdziwie weseliłem się jak student, albo jak ptaszek, wyrwawszy się na wolność — albowiem miejsce zwyczajnego mego pobytu ciężkie jest w lecie, skwarne, rozpalające się prawie do atmosfery piecowej, niechłodne nawet w nocy... Więc ostatniego sierpnia, upakowawszy moje manatki, wyruszyłem prosto na zachód drogami żelaznymi i rzekami, po których chodzą statki parowe, i, obaczywszy po drodze różne miejsca, wlazłszy na różne wieże katedralne, aby odetchnąć szerzej, z jaskółkami zawędrowałem nareszcie do małej miejsciny nad Oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele; mnie samemu przypadają one do smaku i moje ciało kwiat potrzebowało odwilżenia...

Com uczuł, droga moja, spojrzawszy na Ocean, tego ci wyrzucić nie mogę. Między tym morzem a mną jest tajemniczy jakiś związek, sympatya, i ta musi być prawdziwa, albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku, takie, jak widziałem je w imaginacyi, czytając Walterskotowego «Pirata», to jest szare, skaliste, pokryte chwastami — natura obca, ale znajoma, bo widziana kiedyś przecuciem, zapra- gniona sercem — a śród tej natury tyle rzeczy, które odległe

<sup>1)</sup> Sen srebrny Salomei.

miejsca i czasy przypominały: czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką, zupełnie taki sam, a gdy go obejrzałem, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygaczek, jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana; czasem pliszczeka nad morzem, zupełnie do tej podobna, do której niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem... słowem nigdzie od wspomnień uciec nie można, nigdzie od łez i od tęsknoty. A ta cała natura, gdybyś ty wiedziała, jak ona, ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odczłuchania — jak ona mi wyrzucała, że mi się długo gorączkowym myśłem oddawał, a o niej zapomniał — jak w płotach ćwierkaniem makolągiew, wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnięciu tego woza żywota, w którym my, jak konie pracujemy! Jaka ona dobra i litośna dla strudzonych ludzi! Podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu.

Skorom przyjechał do Pornik, dano mi zaraz mieszkanie w domu wiejskim, bo w hotelu już miejsca nie było; tak więc zaraz ujrzałem się w mieszkaniu chłopca pornickiego, panem sadu jego, gdzie drzewa od jablek i gruszek gięły się aż do ziemi. Przez jedno okienko widać było morze, a to okienko, opatrzone od wichrów zimowych ogromną okiennicą z zaszczepką żelazną, podobną do młota bogów skandynawskich, dziwnie gadało mi o zimowych wieczorach tej izby, gdy chłopcy, zamknawszy się przed burzą, siedzą przy kominie i gadają, jak zwyczajnie ludzie spokojni we własnej ojczyźnie... Przez te okienko zaraz z rana obudziła mnie strzałka brylantowego słońca, zagrały mi gruchocące gołębie; szczęśliwy byłem, jak dawniej, wesoły, jak gdybym nie miał lat dwunastu <sup>1)</sup> na barkach; a potem inne tam zupełnie powietrze, woniące morzem, inny horyzont na tym morzu, horyzont, gdzie dla imaginacyi odchodzą zawsze w błękit Kolumba okręty, szukające świata; oczy moje ciągle je widziały, ciągle szły za nimi...

Wyszedłem na brzegi. Tam skały, osypane złotą i srebrną miką, paliły się na słońcu, niby tarcze ogromne, albo trony Oceanid; dalej chatka celnika morskiego, zamieszkała przez jednego żołnierza, zupełnie jak chata Norny, pusta, biedna, kamienna, otoczona wałem z czarnej darni, sama jedna na szerokim polu, czarna na błękitcie niebieskim; dalej wielkie piaszczyste wybrzeże, gdzie morze rzucało swoje srebrne pletwy z szumem miłym i rytmicznym... Rzuciłem się w wodę,

<sup>1)</sup> od wyjazdu z Warszawy.



położyłem się na falach i dobrze mi było, bo tam niema jeszcze sług kąpiących, chatek, gdzie trzeba się ubierać, jak w innych kąpielach, ale zupełna wiejska wolność zostawiona jest mężczyznom. Kobiety mają chatki, sługi, ubiory wodne, i podług mnie są przez to stokroć nieszczęśliwsze...

Bądź zdrowa! Zaklinam cię, nie martw się niczem, a karm się jak najlepszymi myślami i tą wiarą, że nie zawsze ja będę jeździł nad Ocean, aby pomódz cię i duszy, i nie zawsze dam się niańczyć cichej naturze, ale kiedyś Bóg mi pozwoli przy tobie orzeźwić się i obmyć się z kurzawy różnych dróg i gościńców... Bądź zdrowa!

JUL.

90.

*Paryż, 16 kwietnia 1844 r.*

Droga moja! Dawnom nie pisał, bo pisać teraz do Ciebie jest to dla mnie rzeczą wielkiej wagi; chciałbym bowiem w każdym liście dać ci uczuć prosto woń ducha mego, głab myśli moich—a na to potrzebowałyby nam rozmowy długiej i długiej, potrzebowałyby, abyś ty uczuła ciepło moje ludzkie i razem spokojność anielską ducha, miłość wielką, która się we mnie rozwinęła, tę wiarę nareszcie, która mi odkryła wszystkie tajemnice; wszystkie, mówię ci — bo już dla mnie zasłona grobu uchylona jest zupełnie... A oto ty, daleka, przeczytawszy te wyrazy, weźmiesz je za jakąś nową poezją i marzenie, gotowaś je wziąć za rozdział poematu, a mnie za jaką nową osobę fantastyczną, która już żadnego związku nie ma ze światem... Tymczasem ja, prosty teraz człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec — czar, który dawniej zostawiony był instynktowi i rozwijał się lub gasnął w człowieku, jak lampa...

Teraz ja budzę się rano i wraz rozweselony jestem wewnątrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży.. Zdobywcą jestem duchowym — i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę cię mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów?..

Co znaczy ten smutek twój, taki głęboki? Ty silna jesteś, ty jesteś wielkim duchem; jedno słowo listu twego: *leć do mnie!* — porwało mię tak, że ledwie utrzymał ducha mego w piersiach, tak pociągnęłaś silnie za ten łańcuch, który nas wiąże... Pomnij tylko, droga moja, że tylko pohamo-

wana w nas siła jest siłą i zostaje darem bożym.. Zachwylenia więc, i smutne i wesole, pochłaniaj w pierś matki, jak gdyby ta pierś była piersią mężczyzny.

Największą radość uczuję, gdy w listach twoich zobaczę siłę rosnącą, pohamowanie jej, spokojność i moc Chrystusowej natury... Ta moc bowiem jest do zdobycia przez każdego ducha na ziemi: o nią prosić Boga, nią działać, jest to zadanie całe człowieka. Przez nią stajemy się panami zupełnie nawet okoliczności, zda się, zupełnie od nas nie zależących.. Skra jej, a już człowieka czyni wielkoznym... O cierpliwość proszę cię, droga moja, we wszystkim, co się mnie tyczy — a wierz, że nic mi się złego nie stanie. Piszę ci to głęboko z wiary mojej, i dlatego, że do ciebie piszę; inaczej byłoby to kuszeniem Boga... Ale cóż, kiedy w duchu moim jest ta pewność, ta wiosna niby druga życia i świeżości, i siła, której dziś jeszcze używszy na rzeczy świata, mógłbym zdobyć nią wiele rzeczy, za którymi inni ludzie gonią naprzóżno.

Był to kochany Bien.<sup>1)</sup>, który mi o tobie wiele rozpowiadał. On mię niejako obeznał z nowym życiem twoim: wiem, jak ty rano siedzisz w okienku otwartym, jak wtenczas jesteś wesolą i gotową do pogawędy... Widzę cię potem w zrzuconym domku mszy słuchającą, widzę cię i tych, którzy cię kochają — i wszystkich kocham i z wszystkimi jestem na zawsze... A ponieważ wiem, że żadna dusza samotna do nieba nie weszła i nie wchodzi, ale wszystkie podobne sobie razem się zabrać muszą, pomagając jedna drugiej, dopóki najmniejsza z nich potrzebuje pomocy — więc utam, że z tą gromadką dobrych a cierpiących niejedną jeszcze pracę odbywać będą... Pamiętaj-że, abym cię poznał po piękności bożej... bo inne charaktery łatwiej znikają.. Piszę to na daleką przyszłość, albowiem wierzę mocno, że cię tu zobaczę, i po łzach matczynych poznam.. i po tych rysach, które mi się miło od dzieciństwa malowały w oczach, będąc pierwszymi lalkami w mojej żrenicy... Nic cię więc z moich oczu nie zgubi: pomimo światła i słońca i orlego blasku, zawsze ty się pojawiasz w tych zamysłonych zwierciadłach, zawsze, wywołana, wstajesz w oczach moich..

Ale pamiętaj na to, że my, duchy, jesteśmy nie na to tylko tu na ziemi przysłane, aby się raz po ziemisku połączyły, ukochały i. jak najmniej o świata brudy zwałowszy się, odeszły nie wiedzieć gdzie, aby tam niedoskonałość swoją pokazywać w wieczności... W wieczności bowiem żaden

<sup>1)</sup> Jerzy Bienkiewicz, znajomy matki Juliusza.



jednooki, ani żaden chromy, ani żaden, cokolwiek jeszcze drożdzy światowych w sobie mający, nie jest przyjęty... A ducha, który się sam ze wszystkiego nie wypierze na ziemi, nie opierają żadne anioły...

Daruj mi, droga, że ja tak niby z wysoka gadam do ciebie, bo wiesz, że gotów jestem w prochu leżeć przed tobą i słuchać wszystkiego, co mi ty z duszy powiesz. Lecz jeśli chcesz listów takiej gorzkiej a ładnej melancholii, jak dawniej, to próżno: bo jakżebym ja mógł melancholizować, widząc w każdym kroku sprawiedliwość bożą, i przekonany, że sam duch każdy winien jest smutku, który go uciska?

Zosieczka <sup>1)</sup> pojechała do ciebie, ale nie wiem kiedy zajdzie, bo zwykle jeździ dyszlem rzemieennym. Miłą mi była ta dziewczynka, ale zupełnego w niej zwierciadła ducha mego nie szukaj. Mało jeszcze bowiem jest ludzi, co by się chcieli zupełnie duchem przemienić; myślą bowiem, że to chodzi o porzucenie świata i jego przyjemności, gdy tu, przeciwnie, my zdobywamy świat, i żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszym, i żadna miłość w nas nie gaśnie. Niczego się nie wypieramy, oprócz głupstwa i fałszu i maskowanych rzeczy i bałwanów, zrobionych przez oszukaństwo ludzkie, i zapałów, nie z serca idących, i szczęść, zdobytych dla małego celu osobistego, i nauki, która nie jest mądrością—lecz wierz mi, że zaszczepione przez nas drzewo będzie miało wszystkie terazniejszego drzewa kwiaty i owoce, a tem piękniejsze, że z jednego pnia wyrośnie, a okryje świat cały...

Gdybym ci o nim mógł powiedzieć tak, abyś uczuła, klasnęłabyś w ręce i dziękowała Bogu, że żyjesz teraz i żeś cierpiała.. Albowiem podobnej radości, jak nasza duchowa, tem rozwidnieniem świata całego sprawiona, jeszcze nie było... Najwięksi bowiem ludzie o tem nie wiedzieli, o czem wkrótce będą gadać pastuszkowie polscy...

Droga moja! Nabazgrałem ci wiele, a wierz mi, że bez żadnej egzaltacji — więc, jeżeli mnie zupełnie nie pojmiesz, staraj się, aby serce twoje zupełnie się ze mną nie sprzeczało. Pomyśl, że to już ja nie mały Julo, nie te nudzące się dziecię, prowadzone na pasku przez Byrona i innych, ale teraz człowiek, prowadzący dalej z tego właśnie punktu, do którego inni mnie rozpaczają i pięknosciami ducha dowiedli... Chcąc bowiem iść za mną, trzeba być i tam, gdzie ja byłem, albo zupełnie żadnej się goryczy świata nie napić i sięść teraz, jak do gotowego stołu... Najwyżsi więc i najniżsi zrozu-

<sup>1)</sup> Bobrówna

mieją —średni zostaną, długo jeszcze gapiąc się na różne strony. Nie dawaj się więc zatrzącać ludzkiemi głosami i tych średnich rozumem, ale wierz, że Bóg duchy podnosi i do swojej sprawy wzywa, a ufających mu nie zdradza.

JUL.

91.

*Paryz d. 14 maja u. s. 1844.*

Pisałem do ciebie niedawno, najdroższa moja, a to było po długim niepisanu, które wyrzucam sobie, albowiem teraz odbieram list twój pełen niespokojności. Ta niespokojność twoja ciągła i ciągle odnawiająca się jest mi prawdziwą męką, albowiem z jednej strony obawiam się skutków częstego pisania do ciebie, a z drugiej widzę, że ciągle by pisać trzeba, codzień, co tydzień, ach, co godzinę! Bo ty, droga, nie ufasz Bogu, nie masz wiary w niego, wiary tej, że jeżeli ja dobry, a czystym sercem pracuję dla Niego, choćby ta praca była łez pełna i boleści, to łzy te będą mi chlebem żywota, i boleść ta będzie mi jako fontanna młodości, która mi zawsze ciało odkapie i da zdrowie... Ale ty, droga moja, chciałabyś, abym ja wyglądał jak jabłko rumiane i uśmiechał się do maleńkich rzeczy i cieszył się z małych drobnostek; nie dziw więc, że w przecuciach twoich czujesz mnie cierpiącym, bo cierpię jako człowiek, który serce ma pełne miłości, bo tego cierpienia nietylko mam na jeden dzień, lub na dwa dni, ale mam go na wieki długie, jak duch nieśmiertelny i pracujący... Wiesz-że ty, droga moja, że, jeżeliby mi co teraz było niebezpiecznym, to właśnie szczęście ludzkie, szczęście jakie wielkie, ogromne, a zupełnie ludzkie, spotkane na tej drodze, na której siły się moje zastosowały już do innego życia; póki walki, póki oporu, póki nadziei, póty ja jestem nieranny. Jak to czuł kiedyś Homer, raniąc Achilleusa w pięcie!

Wierzaj, droga: jeślibym ja się w drugą stronę do odpczynku już i do zwykłości światowych obrócił, to mię cierań pierwszej róży w pięcie ukole i życia pozbawi. Wiara mi więc, siły dodawaj, a nie wysączaj mi łez z oczu moich, nie przemieniaj mi krwi w tę wodę, w którą się mimowolnie najserdeczniejsza krew moja przemienia, kiedy czytam miłośne a matczyne twrogi twoje...

Oto napisałaś mi w liście, że chciałabyś przyłożyć rękę do czoła mego, że chciałabyś przycisnąć moją do serca twego, a ja, który wstałem z czołem pogodnym i z ręką gotową do pracy lub uścisku, teraz czuję, że mi czoło pionie, a ręka



drży. Tak ty je rozchorowałaś oboje... Droga i najukochańszal Jeszcze raz: bądź ty o mnie spokojna! Gdybym ja musiał po kładce jakiej wężkiej iść nad falą ognistą pożaru, a tyś ciągle z daleka krzyczała: *Ach, upadniesz! Ach, już upadasz!* — powiedz mi, nie odjęłaśbyś mi tej przytomności, która jest potrzebną człowiekowi? Cóż robi na uspokojenie twoje? Gdyby to były dawne czasy, powiedziałbym ci, że kazałem sobie zrobić zbroję u pierwszego płatnerza i w tej będę chodził w wieczór i rano — ale teraz, droga moja, czując się zupełnie pod ręką Boga, nie wiem, czym ciebie mam uspokoić, jeżeli nie Bogiem. W imię więc Jego proszę cię uspokój się!...

Jam odebrał przed tygodniem makatkę — jaka cudowna! Jak ty nad nią pracowałaś! Ona jest tęczą mego bawialnego pokoju. Wisi nad kanapą, a naprzeciw jest lustro, które mi ją, siedzącemu przy stoliku, odbija... Faworytką moją jest dziewczynka zadumana, z kwiatami w ręku; zdaje mi się, że to, jak w poemaciku *Szwajcarya*. Żebyś ty, droga, była w sercu moim tego wieczora, gdym ją td... przywiózł do siebie, trzy świece zapalił, położył ją, zawiniętą, na kanapie, i uhamowawszy się w ciekawości, uklęknął przed nią... i pomodlił się wprzód, nim zobaczył... Cały ten wieczór pokój mój był pełny ducha twego... Teraz przez większą część dnia przytomną mi jest w oczach praca twoja — twoje kolory mi rozwidniają źrenicę...

Listek oddano Ksawerynie <sup>1)</sup>, która mi pisała z podziękowaniem, obiecując, że do ciebie napisze. Bienk... <sup>2)</sup> jest przy niej i pisał do mnie z Rzymu. Za półtora miesiąca i ja wyjadę do morskich kąpiel, bo mię przeszłego roku bardzo orzeźwiły, tak, że całą zimę tą czerstwością żyłem. Morze także i dla myśli potrzebne. Spójrz ty na fale i rój sobie, że gdzieś na przeciwnym brzegu — Jeruzalem, do której ja wędruję na koniu; bo tak było. Patrz na te fale i pomyśl, że ja przez czterdzieści dni na takich samych wahałem się, a nic mi się złego nie stało; owszem, spokojne było morze i wyzwierciadłone, jakby chciało moją duszę nauczyć pokoju. Ach, droga! Piękny, szeroki świat! Lecz piękny aż wtenczas, gdy się człowiek uczuje duchem, panem jego.

Zazdroszczę ci Julinek i tej podróży z Filami, wiozącami pszenicę, zazdroszczę ci tych kwiatów ukraińskich, i tych lasów dębowych, i tej cichości, która was owionie na stepie, za-

<sup>1)</sup> Ksaweryna Beaupré nauczycielka z Krzemieńca.

<sup>2)</sup> Bienkiewicz.

zdzroszczę wam, nie sądząc jednak, abyście wy byli szczęśliwsi ode mnie, bo ja często w duchu mam teraz takie szerokie szczęścia uczucie, jak gdybym szedł na słońce.. Lękam się, że File nieco dla mnie ostygli — ale nie dziwi mię to, albowiem tak być musi do czasu z wielu ludźmi, którzy przywykają łatwo do człowieka takiego, jak był, a często im smętno widzieć go, że się transfiguruje.. Fil nie lubił w Rzymie *Transfiguracyi*, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego było wystawione na widok publiczny... Za pierwszym ściśnieniem ręki zdobędę napowrót i odzyskam całe ich serce; czuję to, i dlatego nie smutno mi, że Jul przestał im być tak miłym jak dawniej...

Lecz ty, droga, chociaż ciebie na początku listu trochę pojąłem, wiem, że się nic a nic nie odkochasz z twego ukochania, ale mi zostaniesz zawsze wśród wszystkich kochających najbardziej kochającą i najukochańszą. Całuję ciebie.

JUL.

92.

*Paryż, d. 12 sierpnia 1844 r.*

Najdroższa moja! Nad Oceanem odebrałem twój list, najukochańszy, najmiłszy z listów, bo pełny wesela, z rozradowanej duszy cały wyjęty, otwartemi ustami śpiewany Bogu, prawdziwie taki hymn, jaki się od duchów-aniołów Bogu należy.

Odebrałem go w pierwszych dniach pobytu mojego nad morzem, i z tym listem poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą błędnych nadmorskich kwiatów malowane, szerokim morza błękitem obwiedzione, gdzie mi wszystko, smętne i miłe i szeroko błękitne listowi twojemu wtórowało. Spostrzegłaś więc nareszcie, droga moja, że wszystko, co nam karą się zdawało, jest błogosławieństwem bożym, że więcej odebraliśmy od Niego, niż nam się należy. Bo obejrzyj się na ludzi: oto są niektórzy szczęśliwsi niby od nas, ale im serc nie staje, i nieszczęśliwsi od nas, a dusz nie mają. Piszę ci to z krainy, gdzie ludzie we wszystko obfitują, ale miłość ludzka jest im zupełnie nieznaną, nikt nie jest w niej uwielbiony, nikt podobnego tobie żywota nie prowadzi; bo i tu mówią o tobie; wczoraj słyszałem te słowa, żeś ty jest uwielbioną matroną; może ci się to wyrażenie wyda śmieszne i przesadzone, ale dla mnie słodkie było ono, jak jaki napis monumentowy, wielkim językiem przeszłości pisany.



Pieść więc, droga moja, i utrzymuj ten stan wysoki duszy twojej; nie mówię, aby on trwał miał bezprzestannie, bo smętne i rozpaczne chwile muszą czasami powrócić i ducha rozhartować; ale radość i pokój boży z większą siłą wrócić powinien i być niby dnem, na którym się inne uczucia malują.

Jam się przez cały miesiąc kąpał w morzu; odwiedziłem to samo miasteczko, które w przeszłym roku odwiedzałem. Wszyscy mię poznali, wieśniacy nawet, wszyscy uśmiechami jeszcze jadącego w dyliżansie witali, a cóż dopiero w oberży, gdzie oberżysta z żoną, staruszkowie, jak Filemon i Baucis, otoczeni tłumem służących wieśniaczek, oblegli mię dokoła, wszystkie pokoiki otworzyli, abym sobie wybierał między nimi najdogodniejszy, i radośniejsi, niż byli przedtem, odeszli, zostawiwszy dalsze przyjęcie falom morza, druidycznym kamieniom, które ulubilem sobie dlatego, że są od wieków na smętnej pustyni stojące.

Wkrótce po przybyciu moim cała oberża się napełniła przyjezdnymi i stała się brzmiącą, bo z desek sosnowych i belek budowana, jak niby skrzypce jakiego olbrzyma, Mirmidonami napełnione; głos fortepianu, gwary dzienne, a tu poty tańców wieczorne rozlegały się bezprzestannie, bo tu ludzie innego szczęścia, nad rozrywkę nie znają, ani nawet domyśla się, że szczęście i wesele w duszy być może... O, chciałbym tu choć na chwilę sprowadzić Fortunata kochanego, aby się z ostatka swojej tęsknoty uleczył, a pewny jestem, że, pobywwszy miesiąc z figurami dzisiejszej Francji, poszedłby ze łzami całować wszystkie dęby poważne puszczy naszych i łzawemi oczyma patrzeć na fiołki, także czystemi łzami oblane.

Błogosławieni wy jesteście, bo żyjecie sercem i smutkiem; jużeście się przesyćli, i już go więcej w was wlać się nie może, bo pełni jesteście. Cały trud ducha i wszystkie boleści już są za nami, a teraz ciągle rozwidniać się nam będą niebiosy—obaczycie.

Co do mnie, coraz mi lżej, coraz mniej oporu ludzie mi stawiają, a co mi głosu żórawianego od was zaleci, to wszystko na miłą nutę, wszystko płacące mi choćby za wieki cierpień, choćby za ofiarę ze wszystkich kropel krwi mojej, z duszy nawet zrobioną.

Sama nareszcie siła boża zdaje mi się ciało moje hartować, naturę kości moich przemieniać, na dłuższe trwanie mię przeznaczać, drugi niby żywot mi zapowiadać, nowy zupełnie, lepszy od tamtej burzy, która mię tak była zmordowała, zem prawie w grobie chciał być dla spoczynku... Teraz

życie i śmierć jednakowo mi są ponętne i niczem się nie różniące od siebie.. Wierzcie mi, że tak jest i tak być musi wkrótce dla wszystkich ludzi, którzy zdobędą uczucie nieśmiertelności ducha i wszystko jasno zobaczą. Aby zaś to się stało, pracować będę bez wytchnienia i bez pośpiechu niecierpliwości. Taka praca jest prawdziwym rajem na ziemi.

Dlaczego ty, droga, chcesz ode mnie szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy, odpowiedziałbym w takim sposobie, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem, jeśli szczęściem jest zabawa, tej ja nie znam; jeśli pieniądze, tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniej, niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach, od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym ci opisał, droga, życie moje zewnętrzne, ty sama możebyś zważyła o szczęściu moim, możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że ci dziecku twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli ty prawdziwie szczęścia mego żadasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, że jest pelen jakiejś wewnętrznej radości, która się czasem aż w głosie moim tonem śpiewu przebija, jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko, w przestrachu śmiejąc się, bo pewne opieki. Pytasz mię, droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja cię proszę, abys nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potem głośno mówią: daliśmy jadła, i słudzy nasi pożarli je — albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem, upoiwszy je z palących kielichów, i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takim jadem wiązać ludzi, aby więcej nie rozchodzili się, ale zbrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi... Dla wiadomości twojej jednak powiem, że i na tamtych święconym byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc, że przeszłość jadła, aby żyła.

Droga moja, cierpliwą bądź; o cierpliwość proszę ciebie najmocniej, prawie ze łzami rozpacz. bo niema większej tortury, jak czuć się ciągle napędzanym wtenczas, kiedy człowiek ostatnich sił dobywa i zupełnie jest wyprężony, a ludzie ciągle krzyczą: I cóż? I nic? A kiedy? Odpowiedź na to jest w ewangelii: Słabe ciało jest, ale duch wiele może.



Na krótki czas więc jeszcze bądź cierpliwa, proszę cię; nie chciej małych rzeczy, aby ci się wielkie stać mogły, i małych próśb nie zanoś do Boga, a małą prośbą jest prośba o ziemską pomyślność moją... Proś Go więc za ludźmi, nie za mną, a za mną tak, jak za ludźmi, nie rozłączając mnie w niczem z ich losem, bo jam jest we wszystkich, a wszyscy są we mnie. Mnie wolno jest osobno za ciebie się modlić, bo od ciebie mam wszystko ziemskie: niańczenie w dzieciństwie, i pokarm, i łzy, i wszystko aż do tego czasu... Gdyby mi więc Bóg odjął co, a dał tobie, byłby miłośny i sprawiedliwy.

Niespokojny jestem o ciebie, pisz mi prędko.

Twój Jul.

95.

*Paryż d. 30 listopada 1844 r.*

Dziwny dzień miałem po odebraniu listu twego, droga moja: z jednej strony widok tego domu, gdzie otoczono ciebie wspomnieniami o mnie, gdzie ten mały aniołek prawdziwie po anielsku śpiewał ci o duchu moim, bo naprawdę, Bóg go natchnął i dał mu takie uczucie, jak gdyby coś z pośmiertnej chwały synowskiej zaśpiewał ci — z drugiej strony twoje rozczarowanie względem Salusi<sup>1)</sup>, dawno przeze mnie przewidziane, spadło mi na serce ciężko, bo czemużbym miał przed tobą brać tę spokojną i marmurową postawę, którą przed światem mieć musi ten, kto ma coś większego do spełnienia, niż zajęcie kilku miejsc między zapyloną gromadą umarłych? Winien jestem i nie winien.

Wiesz, droga, co się stało po odkryciu Ameryki? W księgach tego nie piszą, ale ja wiem od samego Kolumba. Oto po tryumfalnym jego przyjęciu w ojczyźnie, królowa wezwała do swego pokoju jednego z towarzyszy Kolumba i pytała go, czy to prawda, że Kolumb jednej z wysp nowo odkrytych dał nazwisko Izabelli? «Prawda», odpowiedział dworzanin i lice królowej rozjaśniło się jak słońce, z uśmiechem więc rzekła: «Wyspa ta, jak sądzę, musi być największą z wysp odkrytych?» Dworzanin, który nie był jednym z przyjaciół Kolumba, ale, owszem, rad był zniżyć go, zwłaszcza, że uczynić to mógł bez fałszu żadnego, odpowiedział, że wyspa ta, imie-

1) „Sen srebrny Salomei“, który nie podobał się matce Juljusza.

niem Izabelli ochrzczona, wcale nie była wielką, owszem jedna z najędźniejszych wysepok Oceanu. »Ale przecież — rzekła królowa — musiało się znajdować na tej wyspie coś czarującego, kiedy ją Kolumb moim imieniem ochrzcił. Zapewne ogrody znalazł pełne róż i cynamonowych lasów? Zapewne powietrze pełne ptasząt, których widok, jak tęcza z drogich latających kamieni, uderzył w oczy Kolumba i mój dyademata królewski przypomniał?» Tu dworzanin już milczał, a królowa, zachmurzona, szła dalej: «To przynajmniej ludzie, na tej wyspie odkryci, muszą być wzorem elegancyi i rycerstwa, do dworzan moich tutejszych podobni wykształceniem i cywilizacją?» Dworzanin i na to nie odpowiedział, a królowa dalej: «To przynajmniej mieszkańcy tej wyspki muszą być ludźmi z natury cnotliwymi...?» Tu dworzanin uklonił się i rzekł: «Najjaśniejsza Pani! Wyznać muszę, że wyspa, twoje imię nosząca, zamieszkała jest przez antropofagów». Królowa odwróciła się i nic więcej nie rzekła — ale wiadomo ci, droga, co się stało potem z Kolumbem.

Otóż to jest wyspa moja i całe tłumaczenie się moje. Pamiętaj ty jednak, droga, że nie jesteś ty królową jednej, ale wszystkich wysp moich. Teraz ci powiem, droga moja, że ja sobie żadnego z moich utworów terażniejszych wytłumaczyć nie mogę; nie wiem bowiem, skąd przychodzą i dokąd idą, ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy ze światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą...

Widzisz ty, jak ja ukochałem *Księcia Niezłomnego*, w którym Chrystus w Afryce zwycięża lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał, odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłości a przyszłości zwycięstwami być powinna: w kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo...

W innym rodzaju, ale nie mniej dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy: oto w istocie w rok potem pewien Salmon zabił jakiegoś Juljusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka; zabójstwo to zostało odkryte i ukarane — a dla mnie jest niby rzeźwiwą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawymi literami napisaną.

Mniejszych mnóstwo mógłbym ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się *Kirkor*, tak samo, jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi, że gdyby był przy męce



Chrystusa, to zbawiłby Zbawcę<sup>1)</sup>, etc. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?

Rzeczy te mało uważane, dowodzą, że spełniamy jakąś misją, że nas trzeba było, abyśmy byli — a nie będzie, jak nie będzie potrzeba. Spokojną więc bądź o to wszystko.

Droga moja, teraz dopiero odebrałem twój i Ojca mego portrecik — i Fila rysunek... Kochani wy moi, przyszlście mnie otoczyć. Ojciec mój spokojny, ty uśmiechająca się smutnie, Filo gdzieś w stronę patrzący, z powagą orlą i spokojną. Ciebie mi jednak, droga moja, innej potrzeba było; ja ciebie w oczach mam piękniejszą. Jak jedna z tych Madonn hiszpańskich, czy ty masz wielkie, zielone, a ciemne, pełne słońca w dolach czarnego smutku, świecące się jak lampy tamennicze w Jozafatowych grobowcach; wierz mi, droga, że twoja piękność matki bolesnej jest najbliższą pięknością aniołowym. Widzę ciebie czasem tak bolejącą, że aż surową mi się wydajesz; wtenczas ze strachem oglądam się na siebie i na moje czynności, i radbym być wielkim, bardzo wielkim... i radbym mieć jakieś twarde, po rzymsku, na lwach posłane łożo, aby obraz twój taki mógł z roztwartych karmazynowych franek wyglądać i odpowiedzieć świętemu strachowi, który powinien panować w sypialnym pokoju *człowieka*. Nie chcę więc, aby mi się teraz malarz jaki z takim to twoim portretem pokazał, bo nie mam milionów na kupno; musiałbym go odesłać z obrazem i zostać z pamięcią. Tak to świat w ničem jeszcze nie odpowiada duchowi naszemu, i to jest właśnie wielki post nasz i wielkie nowe męczeństwo, przez które duchem przejść musimy, przechodząc, jak dawni święci, przez pustynie.

Biało dzisiaj od śniegu, i to mię do was przybliży myślami. Nad tym śniegiem myśl moja zwykle ulatuje, więcej kolorowa, jak nimfa, gwiazdami i kwiatami sypiąca, ale napół senna; dlatego i list mój taki.

Całuję cię i ściskam, droga moja. Przetrwaj wszystko, co złego, a Bóg nam radośniejszym kiedyś zobaczyć się pozwoli. List ten przyjdzie zapewne na wilią; udrzyj kawałek papieru, na którym usta moje kładę, tu, w dole, na prawym rożku, i niech ten papier będzie opłatkiem. Prawdziwie, żem go ucałował i posyłam.

JUL.

<sup>1)</sup> w Balladynie akt I scena I.

99.

*Paryż, maja 1845 r.*

Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekla. Duch mój obrócił się cały twarzą naprzód; w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wewnętrzne, które coraz dalej prowadzi — nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłumaczę ten wzrost nagły i to odmienione we mnie pojęcie naszego życia na ziemi? Jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Módl się, droga moja, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć nawet dawniej nie umieliśmy. Gdy ci piszę tak, to lękam się znów, że mnie weźmiesz za waryata, albo za człowieka, co księdzem myśli zostać...

Raz na zawsze odpędź te myśli od siebie.. Natury, którą mi dał Bóg, nie wyrzeknę się, z drogi nie zejść, nie odmienić się chcę, ale rosnąć: moce, które są we mnie, poznałem i tych przed nikim z zupełną niewolą nie ugę, przed nikim żywym. Jedyną nędzą moją i boleścią jest to, że ludzie, których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają, a nikt nowy nie przyjdzie, coby im ich stratę zastąpił; codzień prawie czekam, czy się nie otworzą drzwi moje i czy twarz jaka nowej piękności nie błysnie mi słońcem rozweselenia—bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bóg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność na ziemi, serce, rozweselone mocą i dobrocią, szlachetność świętą i niezmienną... Wolajże ze mną razem, droga moja, aby mi takie braterstwo przyszło dopomódz, bo teraz, choć powierzchni nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem... Serce zaś moje, na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka się codziennie, nawet patrząc na nieznanomych ludzi nieszczęścia..

W tym miesiącu, dziwnym zbiegiem chorób trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam, i zaczerniła go... Ostatni zaś raz, wszedłszy, zabrała ładną, czternastoletnią panienkę, której rodziców okna o pięć kroków są przed moimi oknami: oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty, i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj ludzie, ale, jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyż-



szej duchowej wiary, a w poczciwości jednej świętej cel żywota zakładając, wychowali to dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną egzaltacją.. U nas dziewczyna tego wieku (a wyrosła, jak łania i ładna była) kochałaby się już idealnie w jakim z daleka widzianym chłopcu, bo u nas wszystko gra w ludziach, żyje, płomieni się, a czy źle, czy dobrze, zawsze rusza się i wybucha; tu przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałem zakochanej panny; czekają, aż pójdą za mąż, a i wtenczas jeszcze nie kochają się, ale się balamucą... Otóż moja sąsiadka, która tydzień temu zdrowa była i kwitnąca jak róża - nagle krwią uderzona w głowę; ciałem tym, strasznie wyniosłym w moc. w pięć dni zabita, poszła na cmentarz... W tymże samym czasie syn popadł się pod los, to jest, losem naznaczony na żołnierza — i oto te ciche dwa pokoiki, w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju, przez okna patrzeć muszę — puste teraz, wymiecione nieszczęściem, przez dwoje średniego wieku cnotliwych ludzi zamieszkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość Chrystusa...

Opisuję ci to, abyś ty, droga, tak, jak ja z wielkim ubolewaniem i miłością uniosła się sercem, niby gołębicą, do Boga, nad nieszczęściem ludzkim górując, ale nie przez obojętność ani twardość serca, ale przez lot wysoki. Oto duch tej dziewczyny odszedł z ziemi niczego nie nauczony; nigdy nie cierpiał, miłości żadnej, nawet ludzkiej nie poznał, o Bogu słyszał mało, w ostatniej nawet godzinie żadna świętość nie pokazała mu się na ziemi... Miesięcznej mu hostyi nie pokazano — gromnice, jak gwiazdy i ognie, nie pokazały się w ciemnym, powietrzu ostatecznego oczu zamglenia — lotu mu żadnego nie dano. Gdzież ona jest?... Co teraz robi? Gdzie się znów widzialnie objawi? O czem pamiętać będzie?... Czy wdzięczną jest tym rodzicom, że ją w takie ciało śliczne ubrali byli i, ubrawszy, o ubiorze, myśleli, a nie zapytali, czego chce, nie wydobyli z niej ostatecznego dźwięku, który może był cudownej mocy i piękności? Może nawet dlatego odeszła, że gniewała się na nierobotę dusza ta, że chciała czynić, a sposobiono ją do tego, aby, spoczywając, starała się być szczęśliwą?

Nad nią więc ani chwili nie ubolewałem, droga moja, owszem, rozweseliłem się w duchu, myśląc, jakie być musiało tej duszy rozweselenie, gdy się wolną i pracującą duszą ujrzała... Ale nad rodzicami głęboko i głęboko cierpiałem, że takiej nauki potrzebowali, że tego odebrania dziecięcia Bóg się winnym względem nich uczuł, a to dlatego, że ich ko-

chał poczciwych... Przez taką pracę, jak widzisz, i przez takie nieszczęścia przechodzą duchy nasze!... Przez okna moje i przez oczy moje patrzę na tę historię duchów, której świat jeszcze nie rozumie, z uczuciem nieśmiertelności widzę wszystko, jakby się w kryształowych ciałach odbywało, a wszystko jest dobre i piękne, chociaż smutne, dopókiśmy smutku warci.

Tą historią, sądzę, że cię wprowadziłem do domu mojego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi, na świat zwróconej, ale nie bez łez dla świata, ani bez modlitwy za umarłymi, bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła tak blisko leżała, przepędził, modląc się i czytając głośno ewangelię z tą myślą, że dla ducha jej słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świący mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos któregoś z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj tekst z najspokojniejszych rozdziałów ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz terazniejszego ducha mojego.

List twój ostatni pełen smutnych nowin... Wiśc o chorobie Pawła <sup>1)</sup> była mi powodem wielu uczuć, podobnych tym, które oto wyżej zgon panny we mnie obudził... Któż więcej, jak on, doznał cichego pokoju na ziemi?... Jego mieszkanie w ogromnym i echowym gmachu, ten milczący tłum duchów, który był w książkach i milionem szepczących głosów otaczał go, ta tęcza gwoździków, którą on karmił spokojne oczy swoje, nareszcie najwyższy anioł milczenia, ta rozumowa rozważa, która panowała nad uczuciami jego, to wszystko, a tak długo na ziemi trwające, prawie bez żadnej zmiany, teraz... może już zakończono!... Milczenie wielkie rozbite, jak dzwon pęknięty!...

Wybijajmy się więc duchem, droga moja, z pod tych cięlesnych uciszeń, które odejmują prawdziwą siłę duchowi naszemu, i czynią, że podobny, głupcowi, zawsze rozpoczyną na nowo tę pracę swoją, przeplataną mękami, nie będąc nigdy mocniejszy nad to, co go czyni nieszczęśliwym. W ostatnim odlocie ducha naszego pocujemy siłę większą, niż była przed rozpoczęciem pracy, a nie oszuka nas Bóg Sprawiedliwy...

Niech za nami zostaną rzeczy ukochane wprawdzie, ale do których już nie tęskniliśmy tak, jak do jedynych rzeczy, z których mogła mieć szczęście dusza nasza; przyszłą moc ducha naszego ukochajmy... Te sny, które, mówisz, że scho-

1) Jarkowskiego, bibliotekarza liceum Krzemienieckiego.



dzą do ciebie i mocniej się czuć dają, dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami nic nie wiedzącymi... Takim narzędziem byłem długo ja sam, narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzone przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty rozumiesz to wszystko?... Sądzę, że, rozczuliwszy się tem, co piszę o umarłych i umierających, zrozumiesz... Jaśniej tłumaczyć się nie mogę; to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwo to pojąć mogą zmysły moje... Proszę cię, wiarę miej, bo na tym wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mię w łonie swoim niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie nieśmiertelnej natury słowa—a nic ci nie piszę z zimnej myśli i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej... Ściskam ciebie i całuję, zdrów jestem i nie wiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszym ode mnie.

Jul.

102.

*Paryż, 15 października 1845.*

Najdroższa moja! W tej chwili odbieram twój list; przez cały czas czytania drżałem, jak liść, i zegnałem pierś, aby ją uspokoić duchem Chrystusa, aby serce nie biło tak mocno i tak po ziemsku... Moja droga! Twoja miłość dla mnie jest zanadto wielka; przeraża mnie—jam nie godzien jej—ja biedny człowiek cierpiący jeszcze, a ty już oddajesz mi się, jak tryumfującemu aniołowi, cała ze mną i cała przy mnie...

W twoim liście był jakiś ogień miłości, który mię pali, serce mi kurczy, jak wilgotną gałązkę, ręce łamać przymusza... Grzeszę przeciwko duchowi i duchom świata, z którymi jestem, bo tracę spokojność... Ty mię robisz niewolnikiem twoim — i razem dajesz mi czuć, że jestem panem twoim.

Nie wiem, jak ty te wszystkie słowa rozumieć będziesz, ale to wiem, iż po raz pierwszy tak silnie czuję związek nasz i przeznaczenie nasze, że wiecznie razem będziemy. Uwierź ty, droga, że wszyscy jesteśmy synami bożemi, iż wszystko przez nas wypracowane, nasze jest: a co wiarą stworzymy w sobie, to się nam staje tu i wiecznie... Na nieśmiertelność całą rozplomię miłość twoją dla mnie, bo ja nieśmiertelnie potrzebuję twojej miłości... Nie trać siły całej w jednym matczynym wybuchu... Niech ja nie będę przymuszony z aniołami boskimi brać ciebie uwiędłą na ręce

i oddechem cię ogrzewać i do sił przywoływać i do piękności nowej rozświecać.

A jednak to wszystko, i to, co mi p. Eleonora <sup>1)</sup> pisze o tobie, upoiło mię, jak wino serdeczne: głowa mi się zawróciła, i tryumfuję przed Bogiem z miłości twojej dla mnie... Niechże więc te dwa nasze tchnienia razem złączone pracują nad światem, modlą się za świat. Niech się nareszcie, choćby z uszczerbkiem naszym, staną siłą ożywiającą świat...

Czyś ty nigdy nie marzyła, droga moja, o spiorowaniu dwóch modlitw w jedną modlitwę, dwojga miłości w jedną miłość, dwóch sił w jedną siłę? Czy ty myślisz, że tego na wieki wieków nie będzie?

Przestałem pisać, aby w spokojniejszą chwilę wziąć pióro; może tak wyraźniej i jaśniej dam ci uczuć czem jestem i co czuję...

Ty chcesz ode mnie opisu stanu mego—może nawet widzisz mnie z daleka w jakiejś nadzwyczajnej egzaltacji, podobnym do ludzi, których zwykle mistykami zowią... Otóż raz na zawsze proszę cię, nie zwątp o mojej wewnętrznej ducha spokojności; rozmiłowany w prawdzie i w prawdach, które mi przez Boga nakarmiony byłem, czynię, co mogę, abym się czysty, szlachetny, niczem nieskałany, w obliczu i przed okiem Stwórcy mego zawsze stawił... Różnica moja z ludźmi jest ta, że z innego źródła niż oni biorę wiedzę moją, a stąd często przeciwko opiniom czynić lub mówić muszę — i ta jeszcze różnica, że kiedy oni obojętnie schodzą się dla zamienienia wzajemnego kilkoforemnych myśli, ja do każdego zbliżam się niby do brata, z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby... i dać mu pęd ku wielkim celom żywota, a siłę w nim wrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności. Taka praca, trudna i wiekawa może, jest mi sądem i przeznaczeniem...

Opierają się ludzie, którzy się jako tako w formach dawnych uciszali i niby zmartwiawszy, napót spokojności dostąpili. Ja nie jestem spokojny, ale szczęśliwy jestem, że mi ta praca ducha zamiast pracy rąk daną była przez Boga, bo są dnie, że w ciągłym jestem upojeniu, w ciągłej niby harmonii z całym stworzeniem; drzewa mi się tłumaczą z tajemnic swoich, jagody usprawiedliwiają ze swoich własności, kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują—a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewne nieprędko inni ludzie posłyszają... O tych ogniach, które mię

1) Sowińska.



widzialnie ochrzcyli, pisałem tobie. Nie trwóż się, ani też uważaj tego za skutek krwi, za halucynacyą, bo srodze obraziłabyś w tem prawdę serdeczną, z którą piszę do ciebie.. Ta myśl, że *tego dawniej nie było*, albo że *to doktorowie wytłumaczyli*, niech ci nigdy nie staje na drodze w wierze; ja ani pod doktorów sąd, ani pod sąd wiekowych doświadczeń nie schylę głowy mojej.. Czego dotąd nie było, będzie, skoro mocniejszymi będziemy w uczuciu synowstwa bożego, które Chrystus nam zostawił, jako najpiękniejsze i najświętsze dziedzictwo.

Nieszczęśliwy wzięłem papier: ty może, przebitego na dwie strony, nie przeczytasz, a jednak przepisać na zimno tego, co napisałem, nie mogę — nie dlatego, że cierpliwości braknie, ale dlatego, że początek ten, w mocnym drgnięciu ducha pisany, straciłby woń i siłę, gdyby drugi raz pisany był przez naśladowującą siebie istotę..

Twój list miał dziwną, cudowną, energiczną zaraźliwość miłości.: Ty mi tam mówisz, że mi dałabyś zaraz wszystko, co masz, wszystko! Wszystko! A ja ze łzami i z drżeniem pomyślałem: Cóż ona mi dać może więcej nad to, co już dała?.. Ach, i znalazłem perełki twoje biedne.. te perełki, które ja wiem, że tybys mi nawet bez żalu i do piasku grobowego, co mnie kiedyś przykrywać będzie, wrzuciła.. Dajże pokój sobie, biedaczko ofiarująca się i ofiarowana na ofiarę matczynej miłości... Nie wynajduj darów, któremibys mię mogła rozradować, tylko mi daj tę wiarę, o którą proszę: uwierz, że ja cię kocham mocno i za największe sobie szczęście biorę to, że bym był zrodzony przez ciebie, ja ciągle na świecie oskrzydłony przez miłość twoją.

Złoty dzień jesienny, i dlatego list mój w taki ton wpadł; czułość też moja, przez ludzi nieraz zatamowana, wylewa się z większą mocą, gdy piszę do ciebie... O rzeczach cóż ci doniosę? Czy to, że u siebie w saloniku kazał wybić czarny w złotawe, to jest żółto-brudne kwiaty dywanik, chcąc się uchronić tego *zimno w nogi*, które często zapominającemu się przy stoliku pisarzowi katar sprowadza—czy też powiem ci, że między memi kwiatami wyrósł sam nieproszony szczerp winny, co Francuzi za wielkie dziwo uważają, a ja prawie za omen jaki rachowałbym go, gdybym wierzył w Bachusa. Cóż ci donieść?... Moje oczy zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone, moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego... Z tej strony prawie człowiekiem nie jestem...

Umarła tu nam autorka nasza, dla dzieci niegdyś pisząca <sup>1)</sup>. Odpoczynek jej! Ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, sama wyrzucić musi — tamy przeciwko egzaltacji kładzione—serca, przez nią na kluczyk od spiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawdach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują, niż na nogach. Nie wiedząc, a sprostantyzowała kobiety. Nie miej mi za złe, bo prawdę mówić muszę nawet o umarłych, abym w prawdziwych umarłych rozkochał żywych.

Całuję cię serdecznie, najlepsza i najukochańsza. Pani Eleonorze za list cudownej wzniosłości, jak za dar drogi, dziękuję. Reszta w przyszłości, przyszłość cała Bogiem jaśnieje i najlepszą jest z rzeczy najlepszych.

JUL.

104.

*Paryż, 10 grudnia 1845 r.*

Droga moja! Przed miesiącem pisałem i teraz piszę, bo ty może ze szczerego wyznania mojej jesiennej słabości roisz sobie dziwne rzeczy i martwisz się, a ja zdrow i spokojny, zapomniałem już nawet o wodzie Bussang. Chciałbym jakim sposobem każdy mój list nabalsamować prawdą, aby w tobie wiarę wzbudzał i utrzymywał w tym duchu oczekującej a jednak spokojnej ufności, który przez tyle lat jużby się był powinien urodzić między nami.

Chciałbym, ażeby z każdym dniem jakaś nowa w tobie urodziła się róża, złota, duchowa, jeden z tych kwiatów, które Duch Święty w nas rodzi, a które są nieprzebranej liczby i niewypowiedzianej wonności.. Gdybym ci to w darze dać mógł, byłbym spokojny o ciebie, wiedząc, że dni twoje cicho płyną, a nigdy rozpacz nie zaziera w twoje szyby. Czegoż rozpacz? Możemyż w dzień jeden serca ludzi przemienić w aniołów silnych i potężnych? A wartoż jest nieaniołom dawać moc w rękę i siłę, z którą oniby dziwosy wyrabiali? Bo tak jest, droga moja: ci, którzy teraz wzajemnie w domach jednych ani przez dzieci i w imię rodziny, ani w imię Boga ukochać się nie mogą, jakżeby się mogli puścić na to morze, gdzie wszystko na związku miłosnym serc zależy, jeśli kara i strach, psy rządzący, ma być wypędzony, a wszystko bez innej znów podstawy, jak miłość?...

<sup>1)</sup> Klementyna Hoffmanowa.



Dlatego to, droga moja, tak długo nie jesteśmy razem i tak twardo pracujemy... Nie uwierzysz, ile te wieki przeszłe błota i żwiru w najpiękniejsze dusze naniosły! Trudno, trudno! I piorą się i obmywają, a jeszcze obmyć się nie mogą. Ty czujesz to także. Nieraz wykrzyknik mimowolny w twoim liście zdradza to zasmętnienie ducha, które ci przychodzi od ludzi.

Może ty nie wiesz, że na odmianę ludzi dany nam jest jeden tylko sposób: oto wzbudzenie w nas wiary, że ci ludzie są nieśmiertelnymi aniołami, a zbrudzili się, jak dzieci — i przelanie tej wiary w nich samych. Ile razy krytykujemy, albo skarżymy się na świat, albo wyrzucamy mu z gniewem wady jego, tworzymy sami *wiarę* w brud i niedoskonałość, a każda wiara zamienia się w ciało i spełnia się... Czy ty wiesz, droga moja, że prawdziwymi zabójcami czasowemi nas dawnych byli tacy prorocy z kazalnicy i z wysokich miejsc, od kilku wieków trąbiący śmierć wam (z dodatkiem: jeżeli się nie poprawicie)... Wszak gdybyś ty słudze twemu ciągle mówiła przez lat dziesięć, że kradnie, to na końcuby kradł — że chory, to nareszcieby zachorował. Przekonaj więc wszystkich około siebie, że są aniołami, ale wprzód uwierz w to, bo fałszywie mówiona rzecz byłaby pochlebstwem...

O, bądź ty pracownicą wieków — matką i siostrą moją wieczną, w wieki całe rozpuszczona myślami, w tysiące lat idąca lotem, aż wetchnięta w siebie siłą sakramentalną Chrystusa przemienisz świat nawet cielesnie!... Ja i miliony ukochamy cię i nie opuścimy nigdy, a między sobą nigdy bać się nie będziemy o krótkie rozłączenie cielesne... Wierz mi, że prawdziwe rozłączenie się ludzi jest tylko w duchu, gdy jeden, naprzód idąc, mocije się z czasem i łamie formy istniejące, a drugi, zamilowawszy rzeczy przeszłe, cielesne, a tęsknotą wabiące po szatańsku, zostanie i da się pochwycić tym wirem ludzi, który ciągle wiruje i burzy się, a nic z siebie nie wyrzuci nowego nad to, co było. Powiedz, droga, czy jasno ci piszę, bo czasem wątpię, czy ty słów tych nie bierzesz za jakąś figuralną, mistyczną mowę, za proste kazanie o moralności — a to są rzeczy proste, ale pokazujące nowy świat i nowe pojęcie o świecie.

Po przeczytaniu takich słów, jeżeli cię nieco obudza, weź ewangelią Wujka, a ujrzysz w niej nowe rzeczy, te, które dotąd poganie nowi za figury brali, jak gdyby Chrystus cośkolwiek niepotrzebnego mówił, albo niepotrzebnymi słowami starał się prawdę ukraść... Nigdzie w ewangelii niema przełożeń, nawet w tych słowach: «Gdybyście mieli wiarę, jak ziarno gorczyczne, a rzekłby tej górze: rzuc się w morze —

rzuciłaby się w morze». Jam tę górę widział, a teraz wiem, że, gdybym mógł już uwierzyć w moc taką ducha mojego, ruszyłbym ją z posad swoich słowem... i palcem wskazującym prowadził aż do morza... Bo jest siła.. ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi i wydobywa... Dosyćże teraz nam, że woła naszą i zażądaniem, aby się cnota w ludziach rodziła, będziemy rodzić cnotliwych — że przez uwierzenie, iż są miłujący, zrobimy miłujących się prawdziwie aż do końca świata; dość na tych niewidzialnych, pierwszych użyciach potęgi czystej i bożej, a z której najpokorniejszy człowiek, najslabsza kobieta może się stać prawdziwą kolumną nowego świata... Niech nas, tak działających ludzi, ze śmiechem przeprowadzą, a włożywszy do mogił, jeszcze śmiechem pozeznąją — wżakże już od tej chwili myśmi zwyciężyli świat, a nikt na świecie nie żyje, jedno zwycięzce. Wszak tak wi- działność sama pokazuje. Proszę i zaklinam cię, w różnych chwilach odczytuj ten list, aż kiedykolwiek w prawdziwą natriaf strunę duszy i zadzwoni, jak wieść dawno słyszana. Nie wiem, czyby ci miłsze były cielesne różne opisy, szczegóły życia mego, ale ja tych nie mam wcale, a z nikim już nie prowadzę innej rozmowy, uważając życie za ważną bardzo sprawę... To też ci, którzy mnie odwiedzają, są to ludzie, którzy najczęściej z daleka przybyli, z ciekawości przyszli, a z braterstwem odchodzą, przez jedną często godzinę tak uciśnieni, że, wychodząc, łzy mają rozczulenia w oczach, a na szyję mi najdroższy łańcuch rzucają — uścisk, i to wszystko, co mam i czego żądam, teraz i po koniec wieku. I od ciebie tego... Daj mi to duchem.

JUL.

105.

*Paryż, 1 lutego 1846 r.*

List twój ostatni, droga moja, spokojny, pocieszył mnie. Obyś tak zawsze zdołała ufać Panu Bogu i nie bać się o wszystkie cielesne przypadki! Miłe mi było także opisanie chatki Antoniego (na Syberyi); porównywałem ich los z naszym i wyznam ci, że korzyść nie była na naszą stronę. Oni, spokojni, zadowoleni swojemi usiłowaniami, teraz używają życia, jak ludzie zwyczajni; filiżanka herbaty, wist, pogadanka smętna, ogień wesoły, zapchane szczeliny domu, przez które wiatr świszczce, nadzieja — oto są ich szczęśliwości. Wierz mi, droga, że my twardziej pojeśliśmy życie; już są ludzie, dla których wszelkie szczęścia tego świata, choćby najbardziej rozpalające, są zupełnym nonsensem... Praca ducha, męczą-



stwo ciągle wewnętrzne i po tym męczeństwie otrzymana siła duszy twórcza, wylewająca się z ust i z oczu—oto są drugich ciągle czyny..

Ty jeszcze tego może, droga moja, nie pojmiesz, ty nie pojmiesz, jak wczora, wracając o północy do domu z jakiegoś francuskiego zebrania, gdzie ludzie, niby ptaszki, świegotali o głupstwach, kontenci, że tak jeden wieczór żywota zabijają, ja, ujrzawszy się w mojej zaciszy, takiej teraz napelnionej przez myśli moje i stworzone niemi czyny przyszłego świata, z rozrzewnieniem myślałem o szczęściu mojem, o tej pełności serca i ducha, którą czuję w każdej chwili—o tej łasce Boga, która rodzi we mnie świat nowy—i, tak myśląc, obróciłem się myślą do ciebie. O gdyby—rzekłem—ona mogła uczuć i obaczyć we wnętrzu mojem zbudowaną już przeszłość, nie tylko moją własną, ale wszystkich bliźnich moich! Gdyby ona choć raz zdołała uwierzyć w to, że przeszłość nie może być jedyną miarą porównania między duchem, którego ona urodziła, a ludźmi, którzy już żyli! Gdyby ona przestała już sobie ciągle wyobrażać szczęścia ideału pod postacią wziętości, sławy, majątku, familijnego powodzenia — a raz wystawiła sobie, że jest jakiś duch, który już nad to wszystko wyleciał, już osiągnął ostatecznych kresów szczęśliwości teraźniejszej, ludzkiej, na ziemi, a widzi już przed sobą nowe ziemskie prace i większe szczęście, ale trudne do zdobycia, i, ku tym celom widzianym idąc, napelniony jest rozkoszą! Gdybyś to pojęła, najtrozsza, już nie czułbym żadnej zawady, jużby mi nic czoła nie zachmurzyło.

Niestety, ty żyjesz otoczona ludźmi zwyczajnymi, którzy ci co dnia w uszy kładną swoje zdania i opinie; choć wyższa nad nich, jednak im hołdujesz.. Widzę to w zapytaniach twoich, troskliwych o związki moje z przyjaciółmi. Pytasz mnie, czy zerwałem z tym albo z drugim. O, droga i miła, gdyby mnie kto chciał ku celom niższym zawrócić, karła znów duchowego zrobić ze mnie, gdyby mi przyjaźni swoją ofiarował za zraz pieczeni i kieliszek wina, albo mi kazał bać się siebie ciąglą o głupstwach pogadanką, gdyby kto ssal mi serce, a potem bezużytecznie upity krwią moją, jak pijawka, odchodził i wylewał to, co wziął z ducha mego, a potem mi swój brud światowy, małe plotki, zawiści, podejrzenia przynosił, i, takim sposobem działając na mnie powoli, zniszczył we mnie wiarę w anielstwo ludzkie i w piękność bożą mego własnego ducha — a gdybym ja tego człowieka, ścisnawszy za rękę i pożegnawszy, na czas nie oddalił od siebie, ale dla jakiej mojej korzyści żył z nim i ciągle się dziecinnił, chcąc

odpowiedzieć jego muzykalnemu tonowi — byłbym wtenczas prawdziwie godzien pożałowania.

Kogo się dotknę teraz, dotykam go całą pierśią moją: jeżeli nie może znieść człowieka, a chce zamaskowanej figurki, podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipniasia, z którym wieczór przepędzić miło, zrobionej—od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dlań obojętnością, bo silny dość nie jestem, abym jednym spojrzaniem duchy w anioły przemieniał, a nie mam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował, jak dawni nawrócciele.. Z tej strony więc nie rań mnie, bo, jeżeli mię zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to ci z sumnieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył; lecz, jeżeli będziesz pytał o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha—na to ci odpowiem, że serca są w rękę Boga, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich.. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioly. Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące ludzi obrazić może..

Dla takich to rzeczy mocniej, niż kiedykolwiek, boleję na rozdzielnie nasze. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzej, niż ludzie idą, niż nawet ty sądzisz, że iść mogą, bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam, jak przeze mgły, pokazał — a ty zawsze, droga moja, chcesz ze mnie mieć jakiegoś byronistę, enerwującego już i tak wyenerwowanych... O, jakżeby to była rozkoszna droga dla dusz, którym się Pan Bóg odkrył, gdyby na tej drodze, po której do celów bożych idą, nie znajdowały wstecznych albo zatrzymujących aniołów! Czasami najmiłsze im dusze są takimi zaprzecicielami; pomyśl, jaka tortura — pomyśl, jaka boleść okrutna! Jeżeli więc chcesz mi prawdziwie ulżyć w boleści mojej, to przez Boga zobacz mnie, proś go o wiarę w ducha, proś go o to uczucie nieśmiertelności, którego jeszcze ludzie nie mają na ziemi: niech ci da uczuć to Chrystus, pan świata, żeś ty w nim była już przed wiekami, a teraz jesteś z *pracy własnej twojej* Jemu stworzona.. Jeżeli tego nie uczujesz, dręczyć się będziesz wiecznie o siebie i o mnie, nie pojmując, jak to można przyjść do tego, aby nie tęsknić po młodości, pamiątek nie plakać, a ukochać to, co się już stało.. Bez uczucia nieśmiertelności ducha, pod sobą i nad sobą, świat jest zagadką. Z tym uczuciem zaś patrz koło siebie, a wszystko ci sprawiedliwość bożą wytłumaczy... O, gdybyś ty przyszła do takiej wysokości, żebym ja ci mógł kiedyś napisać trzy słowa: «Matko, oto świat mnie zniena-



widził», a ty żebyś wtenczas wykrzyknęła: «Chwała Chrystusowi! widać, że Ducha swego prawdy i miłości zlał na dziecko moje».—Ja do tego dążę; jeżeli czego innego będziesz oczekiwać, ciągle będziemy się dręczyć o siebie...

Daruj mnie Bogu i przyszłości, proszę cię na kolanach, zrób dar zupełny ze mnie—a ujrzysz, żem cię nie oszukiwał, ale prawdziwie do najwyższych uczuć szczęścia w duchu twoim prowadził.

Szczęście w nas jest. Bądźże mi tak rozweselona i upewniona, bez próżnych zachceń, ale pełna modlitwy o szczęście prawdziwe dla nas obojga.

Twój JUL.

111.

*Paryż, d. 2 grudnia 1847.*

Drugi list wasz pierwszej, niż pierwszy, odebrałem i, przeczytawszy ten frazes, żeście się obie z Sylką śmiały z moich projektów, zadziwiłem się z obojętności waszej; zacząłem więc wam odpisywać, gdy oto w tej chwili przychodzi mi list twój pierwszy, niepotrzebnie przez bankiera pisany, który zapewne u niego przez dni 15 zależał, bo mię aż po 30 dniach doszedł. Czemu wy prosto na rue de Ponthieu N-o 30 nie piszecie?

Możecie sobie wystawić, jak byłem przez czterdzieści dni niespokojny, codzień czekając rozkazu. Patrzałem ze strachem na dżdże i sloty, coraz ciemniejsze... Skarbiłem sobie łaskę tego przyjaciela, który miał ci moją osobę zastąpić w podróży; o mieszkaniu także myślałem, a nie mogłem go zamówić ostatecznie.

Teraz ci powiem, droga, że istotnie lepiej jest, że oboje do wiosny zaczekamy. Od wczoraj przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbad; na wiosnę więc, spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam, gdzie ty zechcesz, i czas jakiś z sobą pomieszamy. Nie myśl, aby mi bardzo łatwo było wyjechać i jeździć, gdzie mi się podoba, a zwłaszcza mieszkać i przebywać w wodach. Ułatwi się to jednak, bądź pewna, że żadne przeszkody przeciwko woli twojej oświadczonej nie zatrzymają mnie. Staram się jednak, aby tych przeszkód nie było. Co do twego paszportu, weź go do którychkolwiek wód, a wszędzie posłuży. Nawet z tym, który masz, wszędziebyś jeździć mogła, raz wyjechawszy za granicę kraju, w którym się znajdujesz.

O, gdyby nie ten kraj, a którykolwiek inny, jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dyliżansu, bo ja ten sam, który niegdyś, słysząc, żeś ty chora, we dwa dni przyleciałem do ciebie i w nocy zastukałem do furtki i u babuni na sieniaku ranka doczekałem. Pamiętasz? Ten sam ja zawsze, tylko dziś przez Boga podniesiony do godności sługi Jego, a przez to gotów tak jeszcze prędzej lecieć na każde Jego zawołanie, choćby na końcu tej drogi była przepaść ciału mojemu — i owszem, radośniej i prędzej lecieć gotowy, gdyby przepaść była... Opisanie wioszczki, łasków i wód rozradowało mię; saneczki mię wasze cieszą. Ale mię smuci brak, który się wam czuć daje...

Staraj się, droga moja, abyśmy te podróże jak najmniejszym kosztem odbyli, bo i to do szczęścia mego potrzebne, abym wiedział, żem ja was nie zubożył. Owszem, mam kilka tysięcy na papierach i gdyby nie to, że teraz papiery mocno spadły i przedawać je byłoby ze stratą, chętniebym je wam ofiarował; lecz proszę, poczekajcie, aż się interesu tu handlowe, zachwiane głodem przeszłorocznym, poprawią, a wtenczas i mój trzosik może wam być pomocą w złym razie.

Co do mnie, skromnie bardzo żyję i, bylebym nie był głodem zmuszony pójść w służbę ludzką, to nie dbam o resztę... O nasiona nieznanne wypytam się.

Mianowski <sup>1)</sup> był u mnie ze łzami i, milcząc, przesiedzieliśmy czas jakiś na kanapie. Miał do was pisać; nie widząc się ze mną, wyjechał. Widuję teraz wielu ludzi: miłość mi ich sprowadza. Zimą tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiej, niż inne zimy, przebędę.

Dzięki ci, droga, za listy, zwłaszcza za odpis na pierwszy list mój, który tak długo gdzieś błądził... Pisać będę, abyś ty napróżno na pocztę często nie zaglądała. Bądź mi zdrowa, kochana Matko moja — do widzenia się! Miłuj mię, ale z prostotą Świętej Matki, tak, jak ja ciebie czysto i serdecznie miłuję.

JUL.

112.

*Paryż, u siebie, d. 28 grudnia 1847 r.*

Najdroższa moja Matko! Pisałem do ciebie list, który, nie wiem, czy cię dojdzie, bo pisany był przez pośrednią osobę, dla skrócenia drogi, a tymczasem ta osoba, jak się

<sup>1)</sup> N. Józef Mianowski, późniejszy rektor Szkoły Głównej.



dowiaduję, mogła się z nim rozminąć. Dobrze się więc nawet stanie, jeśli cię to pismo moje nie dojdzie.

Pisałem bowiem w uniesieniu i w rozżaleniu na niespokojność twego ducha, który, jak czuję go teraz, z całą słabością żądy już tylko cel jeden widzi przed sobą, już tylko o jednej rzeczy myśli, jak gdyby zaspokojenie naszego żądania było kiedykolwiek niebem na ziemi. Mówiłem ci w nim, że właśnie odwieczenie twego wyjazdu przyszło z Boga, bo mię w słotę i w zimno nie wyciągnęło na trzydniową i szybką a niespokojną podróż, którą byłbym odbył szczęśliwy, ale chory na grypę i cały flegmami zinnemi napelniony... A to pisałem ci dlatego, abyś i w tym razie, najdroższa, wiedziała, że ile razy Bóg nie spełnia naszej ziemskiej modlitwy, to tylko dlatego, że mędrzy od nas i wszyscy wiedzący i czujący nas w sobie, wie, iż się o rzeczy złe dla nas modlimy. I tak, gdybyś była w Duchu świętości pytała Boga, czy masz już pod koniec jesieni jechać, czy nie, byłabyś w świętościach duchowego świata usłyszała, że cię Bóg cierpliwą chce mieć do wiosny — a tę ofiarę złożyłabyś w natchnieniu, która byłaby i mnie i tobie policzoną i u Boga zapisaną, jako źródło przyszłej łaski. A teraz co? Ja smutny, że ty nie masz, czego żądasz z całym wytężeniem woli, i ty przez śnieg zatrzymana, nie przez piękność i świętość Ducha twego, który, czując się nieśmiertelnym, umiałby z cierpliwością o radość się modlić i całą przytomnością tej radości, jeżeli ją Bóg da, używać. Wystawić sobie, droga moja, nie możesz, ile ja jestem utęskniony do widzenia się z tobą — lecz to dlatego, abym choć jedną chwilę mógł się uczuć z tobą w jednym uczuciu, nie we wspólności tylko serc razem bijących, ani też w myślach wspólnie rozweselonych, ale w jednym, mówię, duchu, który rządzi sercem i myślą. Teraz serce twoje jest ze mną, ale myśli często się mijają; ty innych rzeczy dla mnie pragniesz, o innym szczęściu dla mnie marzysz. Gdyby się spełniły prośby twoje, za mną niesione do Boga, płakałabyś sama, będąc w Bogu i widząc, coś uczyniła.

Więc ty myślisz istotnie, że ja mam prawo sięść w domeczku wiejskim i zakładać ogródek? A skądżeś ty wzięła ducha mego, gdyś go rodziła? Czy z ogrodu jakiego wyszedł? Czy bez czucia? Czy bez zdolności? Czy z naturą podłą człowieka starca, który przez czterdzieści lat myślał już tylko o brzuchu i o strzeleniu na kaczki? Wszak, zda mi się, że przyszedłem zdolny czuć i podzielić z tobą całą piękność czującej i wykształconej nieszczęściami duszy twojej, a nigdy ciebie nie zawstydzilem, ani upokorzyłem podłością jaką, w mojej będącą naturze, bom gdzieś ofiary czynił już przed

światłem żywota — i teraz czynię — i jeszcze więcej chcę, abym czynił, coraz idąc wyżej w piękności i świętości ducha mego, oczekując chwili, w której się znów z ducha narodzę — jeżeli upokorzony, to nie przez winę moją, bo wola moja jest: iść przez Boga, nie przez ziemię. Gdybyś mi powiedziała, że, gdy się zestarzeję a oczy i nogi utracę, to ludzie, których ja uzdrowiłem miłością i pracą ducha — z miłości dadzą mi gdzie chatę ciepłą drewnianą, blisko miasta, w którym oni, bracia moi, będą czynili i mieszkali — i tę chatę sadem obsadzą i dbać będą, abym ja był o spróchniałe ciało moje spokojny, a spracowanym myślom wypoczął; więc oni będą za mnie dręczyli się sprawą świata, będą cierpieniami, uzyskiwali natchnienie, a do mnie schodzić się będą czasami, aby mi biciem serc ogrzeli, twórczością myśli świętych ożywili, ruchem młodości odmłodzili. Gdybyś mi taki ideał uprosiła u Boga, upraszając Go, aby ten spoczynek przyszedł jak najpóźniej, nie zaś jak najprędzej — pojąłbym, a jeszcze byłbym smętny, że o spoczynek dla mnie prosisz — bo szczęście jest to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości na zewnątrz. Kto nic z siebie nie tworzy i nie wyciąga, ten nie zbogaci się na ziemi; sama wiesz, że władza uczucia szczęścia jest szczęściem; wszak to wiesz dobrze.

Nie chcę jednak, abyś sądziła, że ja nieczuły jestem na wiejskie szczęście domowe, a tylko w miejskich jakich wesołościach zakochany. Owszem, wiejska, obfita, ale nie elegancka uchrona byłaby teraz dla mnie największym kusiciellem, najtrudniejszą do wyparcia się ponętą. Obaczysz, jak ja skromnie żyję w mieście — obaczysz ciche życie moje, uczujesz muzykę teraźniejszych uczuć i myśli moich, które są do piosenki wiejskiej, na fletni granej, podobne — wcale nie światowe i modne. Obaczysz to wszystko i nieś nad tym bezdziesięć cierpiała, widząc, że ja równo na eleganckie, jak na zmysłowe ponęty patrzę bez współczucia żadnego, ale spodziewam się, że uczujesz wewnętrzną moją wesołą i rozradowaną duszę, a wtenczas dasz mi się pokonać we wszystkich żądaniach twoich, które chcą dla mnie szczęść, których ja nie chcę, albo których mi już kosztować bez uniżenia mojej duchowej natury nie wolno. Nie chcę być, jak Penelope, i w noc zią pruć to, co przez dzień wysyłem.

Nie miałem wcale zamiaru dziś pisać do Ciebie; coś mię do pióra napędziło. Może śnieg, który dziś po raz pierwszy pada, a ciebie mi i smutek twój przypomina; list ten, nie wiem, co uczyni. Gdybyś go w duchu przeczytała, powiedziała by ci o mnie wszystko; tak, jeśli go czytać będziesz, nie zrozumiesz, czegom chciałem od twojej miłości. Twój Jui.



113.

*Paryż, d. 22 stycznia 1848 r.*

Kochana Matko moja! Długo ci nie odpisałem, bo mi trudno było na twój list ostatni odpisać; kilka razy odpowiedź, już napisaną, podarłem — a wołę ci to wyznać, niż kłamać. Ostatni twój list zasepił mnie. Miłości twojej, takiej, jaka w nim jest, nic we mnie nie odpowiedziało. Może to jest ubóstwo ducha mego; wtenczas płacz nade mną i przebac! Ale, że cię kocham, to wiem, ile razy spowiadam duszę moją i pytam ją, jak Bóg, czyliby życie za ciebie w potrzebie ofiarowała. Spróbuj mnie, droga moja, jako człowieka, ale nie baw się mną, jak dzieckiem! Gdy ci ksiądz mówił, że w stworzeniu kochać się nie wolno — nie czułaś prawdy tych słów, bo ksiądz je mówił, jak papuga; ale gdy ci ja powiem, że wzdrygam się mimowolnie na taką miłość, a zarazem powiem, że jestem spragniony miłości matczynej, może uwierzysz i uczujesz. Świętą jest rzeczą matce widzieć się z synem, ale mówić, że, patrząc się na niego, będzie się rozplywała, że w tym znajdzie szczęście — mówić to i pisać takim tonem, jest to ściągać na siebie i na syna nieszczęście. Bo wolałbym być pod ziemią, niż być jakiemu człowiekowi celem żywota; wierzaj mi, że przez miłość dla ciebie radbym być teraz z ziemi zabrany raczej, niż być tobie dostateczną nagrodą i całych westchnień ducha twego zaspokojeniem.

I ty, droga moja, gotujesz sobie wielką boleść, bo sądzisz mnie człowiekiem, pełnym słabości ludzkich, żądz niespokojnych, nadziei na przyszłość, celów różnych chciwym — który wszędzie czemsiś zająć się szuka, czas zwykł spędzać mile, od nudy ucieka, rzeczami się bawi, ludzi naśladuje. Wszystko to jest snem twoim o mnie, który ty stracił z oczu, a wrócić do dawnego pojęcia, któreś raz o mnie w liście wyrzekła. Jestem człowiekiem, który ma *une idée fixe* i w niej żyje, i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyćbym się nie zgodził nawet w raju, nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była.

Do jakiegoż ty mię stanu przywiódłaś! Oto muszę się fiksałem nazwać przed Matką moją, abym wytłumaczył duszę moją! O, jak bolesny jest świat i bez wiedzy żadnej, i bez wiary żadnej w wielkość, do której może urósć człowiek z samą jedynie chłopką prostotą! Więc ty sądzisz, że ludzie będą zawsze tacy, jak dziś, nic nie wiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnej liczby talentów i pewnej ilości ludzkiego szacunku jest to wszystko

to, do czego twój syn może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czem jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili — powiedz, czy ty go sądzić możesz? A jeśli sądzisz, a nie rozumiesz, powiedz, jak mu to boleśnie! Droga Matko moja, zmieniła się moja natura: jako ciało, ani z rozkoszy żadnej ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć.

Spróbowałem tego ostatniego niedawno rwaniem okropnym zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeń mi się nie chciało, tylko dla ostrzeżenia dentysty, z uśmiechem wewnętrznym, krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne: z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że, jak np. kilka dni temu, bifsstek był z piaskiem, a ryba nieświeża, więc obiadem mi była filiżanka rosółu i kawałek chleba i piwo; obiad zaś taki pięć złotych mnie kosztuje, bo go jem u siebie, bo wołę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać, włócząc go po publicznych traktyerach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc, jak ulicznica, na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wołą za jadem chodzić, tak, jak chodzą dorywczowie za czem gorszem.

Osądź z tego, czy mnie się należy pytać, gdzieby mi czas przepędzić z tobą było miło? Wszędzie, co do miejsca — jednakowo, co do rozrywek zewnętrznych — obojętnie. Z Dreżna cię wezmę i pojedam z tobą; gdzie zechcesz, i będę siedział, póki będę mógł, bo w tem nie jestem zupełnym panem. O przyjemnościach więc nie myśl, a wybieraj miejsce dla twojego zdrowia. Najmiemy dwa pokoiki i będziemy z sobą szczęśliwi, jeśli się zgodzisz na szczęście poważne, z wnętrzości ducha czerpane. W rozrywki jestem ubogi, bo sam rozrywania się straciłem uczucie, a wszakże będę się starał i ten obrazek w duchu moim ożywić, jeżeli ujrzę, że go potrzebujesz. Słowem, wszystkim, czem mogę, będę ci służył, ale wszystko to mniej, niż jedność uczucia, w którym chciałbym widzieć się z tobą.

Co się tyczy słabości twojej — radź się doktorów tamecznych, bo tu taka choroba nieznajoma, a ja nie znam żadnego doktora, bo w nich nie wierzę i nigdy ich nie potrzebowałem. We wszystkim uzdrawia mnie duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu; przekonałem się nawet, że, ile razy cielesnie chciałem sobie jakim lekarstwem prostym dopomódz, to zawsze po chwilowej uldze była potem reakcyja ducha, który zdawał mi się mówić: «Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nade mnie ducha rośliny, pijże



teraz ciągle rumberbarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała».

Tak jest pewnie, droga moja. Nie ucieszyłoby mię wcale, gdybym cię widział przez wody do energii życia podniesioną — a jednak nie odradzam ci wód, jeżeli w nie masz wiarę, bo za wiarą iść trzeba.

Do widzenia się, matko droga. Spróbuj prosto na pocztę pisać, bo tak lepiej, zawsze jak najprościej... Był u mnie Feliński <sup>1)</sup>; zdaje mi się, godny kochania chłopiec.

116.

*Paryż, d. 28 marca 1848.*

Najdroższa Matko moja! Nieraz ty zapewne teraz przed Bogiem na kolanach pytasz się Go, jakimi on drogami swoją świętą sprawę prowadzi. Ufasz teraz zapewne w obronę jego i widzisz, jak często innymi drogami, niż były nasze zamiary, spełnia nasze życzenia. Oto może wkrótce już nie tylko zjadę się z tobą, droga moja, ale połączę się z tobą, dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów. Każdy dzień teraz dla mnie nową mi pracę przynosi. Znam twoje serce i wiem, że ty mi błogosławisz; nie miej żadnej trwogi o mnie, jestem już rozważnym człowiekiem, lecz siedemnaście lat pracy wewnętrznej i cierpienia duchowego winienem teraz w owocach pokazać. Módlże się ty za mną i bądź siłą moją i cierpliwością moją, bo mi teraz w zapale łagodnym być potrzeba, a gdybym uczuł troskę twoją, mimowolnie zapał mój możeby zgorzkniał. Pomóż mi być cierpliwym! Trwaj w ufności! Felusia ci polecam także, który jest ze mną czystym brylantem i skarbem moim; prawdziwie mi takiego potrzeba było.

Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę, każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy czynnościom moim nadaje; choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku tobie przybliża. Wczoraj przed zaśnieciem widziałem wyraźnie twarz twoją oczami ducha, tak wyraźnie, jak nigdy jeszcze... Zdawało mi się, że cię przed tygodniem porzucił i bez żadnej trudności w myśli widzę twarz twoją. Musiała się być w modlitwie ku mnie pochylć.

<sup>1)</sup> Szczęsny Feliński, późniejszy arcybiskup Warszawski.

Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wiosieczce Fila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują?... Może usta moje kawalkiem chleba domowego, rodzinnego będą nasycone i napełnione?... Może Sylli kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mnie w progę chateczki swojej?... Choćby to najuboższe było, nie dbajcie: wspólnie pracować będziemy, byle nowej matce naszej nie być ciężarem. Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno.

Od czasu zmian nie odebrałem od was żadnego listu — list z karteczką Fila, na który odpisałem, był ostatni. Milczenie wszakże wasze przypisuję nieporządkowi poczt i ufam w Bogu, że was strzeże i strzedz będzie. Fundusze moje zapadły się teraz na czas jakiś pod ziemię. Mam wszakże za co żyć i za co wyjechać, gdy tego będzie potrzeba. Nie przysyłajcie mi więc nic, bo to byłoby napróżno i byłoby mi nawet teraz uciążliwe dla niepewności, jaka tu względem bankierów i pieniędzy panuje.

Ufam, droga, że ty wiesz, iż z całą niecierpliwością dziecięcia twojego chce mi się lecieć do ciebie; nie będę cię więc o tem zapewniał, tylko proszę, abyś wierzyła, że to mi jest zawsze przytomne i przed oczami. A jednak jeszcze nie wiem, jak się to stanie, bo mi droga moja jeszcze się zupełnie nie wyjaśniła... Skoro tylko zadecyduję co o sobie, wiedzieć będziesz.

Teraz proszę ciebie, cierp jeszcze chwilę i z wolą bożą się zgodź, a mnie Jemu oddaj całkowicie — tak, jak ja cały się z tobą poddaję Bogu i Jemu się polecam. Całuję serdecznie nogi twoje.

Jul.

117.

*Poznań, 2 dzień Świąt 1848 r.*

Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania; ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to i uczuć. A ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili terażniejszej uciśniony. Jestem tu na gościnie w domu, jakby rodzinnym, przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo wypadnie mi tu zabawić, a ty, Najdroższa, wiesz, że dłużej, niż



potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę śpieszył i kierował się tak, abym jak najprędzej u Ciebie stanął...

O, jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi ty przyrzadzić każesz, gdzie się położę, jako z długiej pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec, jednym odetchnieniem wypoczywający sobie i cały ciężar fatygi z piersi zrzucający. Jak blisko ta chwila? Nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mię może.

Proszę cię, bądź spokojna o mnie i wyrozumiała na moje położenie, które mnie wiąże z ludźmi i samemu samolubnie kierować sobą nie pozwala. Nie odpisuj mi tu, bo może tak długo tu nie zostanie, abym list twój odebrał. Jeżeli możesz, staraj się z kraju mieć metrykę moją, bo mi ta może być potrzebna. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione. Proś Boga, abyśmy byli światłem czasu i chwili i miłością wszystko związali.

Teraz więcej nie piszę, bo jestem rozerwany na myślach i w uczuciu natężony. Proszę, módl się, aby wszystko było chwałą bożą, a sama bądź spokojna! Spokojność w Bogu budzi entuzjazm na ziemi.

Bądź zdrowa! Dziękuję Bogu, że już tak blisko Ciebie i prawie już niczem nie przegrodzony od Ciebie. Wesela się spodziewam i radości w domu twoim, i w tej nadziei cauję Ciebie w nóżki po tysiąc razy, droga Matko moja.

JUL.

119.

Wrocław, 1848, 14 maja.

Najdroższa Matko moja! Od kilku dni jestem we Wrocławiu, blisko tak Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca tyjące się, zostawiam Bogu, który mnie prowadzi, i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwa, z tobą przebyta, wynagrodzić mnie zechce.

Siedziałem przez miesiąc, gościnnie przyjęty, w jednym domu poznańskim; teraz, siedząc w ciupie, najętej u Niemca, jak ptaszek uwięziony, patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne, serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne

pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za Ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

Miesiąc ten życia mojego pełny cudów; spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkim — napelniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba, na czas wszędzie stawałem. Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła.

Ty może mi zarzucasz, droga moja, że prosto nie jechał do Ciebie. Ale dowiesz się, co uczyniłem, i przebaczysz mi tę niby oziębłość dla Ciebie serca mojego. O, nie oziębłość — zaledwo nieśpiesznością to nazwaćby można. Lecz zastanowiony byłem przez wypadki, które podług myśli bożej przemieni i urządzić było potrzeba.

Od dwóch miesięcy, to jest od przemiany w Paryżu, listu żadnego od Ciebie nie mam. Pisz więc, proszę, jak najprędzej do Wrocławia *poste-restante* i wyraźnie adresu!

Mam tu przy sobie jednego młodego człowieka <sup>1)</sup>, który mnie nie odstępuje. W tym i w wielu innych rzeczach Bóg mię wynagradza stokrotnie za trudy i za cierpienia moje duchowe. Za każdą ofiarę płaci mi, a wielu ofiar ode mnie przyjąć nie chce. Zapewne zachowuje mnie na późniejszą jaką wielką godzinę.

Nie zostawia mnie także Pan mój bez zatrwożeń i pogroźek. I tak, przyjechawszy tu, przypadkiem się dowiedziałem, że człowiek, któremu powierzyłem w Paryżu interesa moje, umarł, podobno nagle, a zatem może bez testamentu. Pisałem już o to i nie wiem, jaką otrzymam odpowiedź.

Pisz, droga moja, i donieś mi obszernie i otwarcie o położeniu twoim terażniejszym. Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moją metrykę i dowioda nią, że, jako syn twój, mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że stanie się niepotrzebną.

Fila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach, jak dzieci, słuchające natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga, i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie. Nie bójcie się więc i o siebie i o mnie. Razem ze światem znajdziemy się w wyratowaniu świata tego, które jest postanowione u Boga. Święci Pańscy z wami i opieka boża nad wami wszystkimi i nade mną.

Juliusz Stow.

<sup>1)</sup> Felińskiego.



120.

Wrocław d. 18 maja 1848 r.

Najdroższa Matko! Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę cię jednak, jeżelibyś się na to odważyła, abyś wsiadła do dylizansu i choćby na dni kilka tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla ciebie, a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkim bezpieczeństwem. Widzieć się z tobą byłoby dla mnie wielkim szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udęcza. Choćby więc na tydzień przyjeżdż, a ja cię będę czekał w dzień umówiony w drodze żelaznej i postaram się dla ciebie o mieszkanie.

Pisząc to, strach mię jednak bierze, abyś się nie naraziła dla mnie na jakie niebezpieczeństwo. Proszę, nie ryzykuj się, a proszę moją spełń, jeżeli cię duch twój zapewni, że to uczynić z łatwością możesz.

Myślałem, że ja do ciebie przyjadę; teraz w tej myśli zachwiany jestem i lękam się, abym zamiast zbliżyć się ku tobie, nie był przymuszony znów się oddalić. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo twoje, i mieć w pocałowaniu twojem świętem ochłodzone czoło moje.

Odpisz mi, droga, jak najprędzej i powiedz, czyli będziesz mogła przyjechać i czy będziesz dość silna, abyś mię znów mojej służbie bożej i Bogu oddała, bez żadnego zachwiania się i bez żadnej boleści, któraby skruszyła siły moje. Gdybym zmuszony był stąd przed twoim przyjazdem odjechać, wtenczas w najbliższym miejscu zatrzymałbym się i czekał na widzenie się z tobą.

Całuję cię, najdroższa Matko moja i Filów ściskam serdecznie.

JULIUSZ SŁOW.

122.

Najukochańsza Matko moja! Już nie wiem, jak pisać i gdzie pisać do ciebie. Widać, że cię listy moje nie docho-  
dzą, choć różnemi drogami posłane. Odpowiedzi od ciebie doczekać się nie mogę.

Jestem teraz we Wrocławiu i będę się w tym mieście trzymał, póki można, czekając na ciebie, bo mi trzeba widzieć ciebie choćby na czas krótki, choćby przez jeden tydzień; trzeba mi żyć z tobą, zwłaszcza, iż dopełniłem obowiązków

moich i mogę święcie u Pana Boga prosić o uścisk twój i nowe błogosławieństwo. Kto wie, czy mi nie będzie potrzeba znów powracać do kraju, gdzie się snuły smętne lata żywota mego. Bóg cierpliwości żąda ode mnie, a prowadzi ciągle kroki moje i opiekuje się mną w każdej godzinie. Jeżeli będziesz mogła, siadaj do dylizansu i wybierz się lekko i donieś mi o dniu wyjazdu, abym czekał ciebie na kolei żelaznej. Gdybyś mię na niej nie znalazła, jedź prosto do hotelu *Weisser Adler* (Orla białego) we Wrocławiu, a ja zostawię tam mój adres; więc, skoro powiesz nazwisko moje, to ci zaraz doniosą, gdzie mnie szukać. Wysiadając z powozu, zapytasz o to odźwiernego, który w bramie stoi galonowany, a ten będzie miał kartę moją.

Nająłem tu mieszkanie na dni czternaście, lecz przed końcem przyszedł miesiąc muszę wiedzieć, co mam robić ze swoją osobą. Gdybyś chciała prosto do mnie zajechać, to wiedz, że mieszkam na *Neue Schweidnitzer Strasse Nr 3d*, na drugim piętrze, dzwonek na prawo. Nie mógłbym jednak u siebie cię ugościć, bo mam jeden pokój, zawsze więc byś musiała zajechać do hotelu.

Proszę cię, droga moja, jak najprędzej pisz do mnie *post restante* pod moim własnym nazwiskiem i donoś mi o sobie, bo spragniony jestem wiadomości tej i nadzwyczaj niespokojny. Całuję cię po tysiąc razy i proszę, abyś, jeżeli to być może, przyjechała.

Twój JUL.

Wrocław, d. 25 maja 1848 r.

127.

Wrocław dnia 15 czerwca 1848 r.

Najdroższa Matko moja!

Od miesiąca codziennie chodzę bezskutecznie na pocztę, pytając listu od ciebie, i zrozpaczony i coraz bardziej rozpaczający, że tej zapory, która jest między nami, złamać nie mogę. Do Filów i do ciebie różnemi drogami pisałem i prosiłem we wszystkich listach, abyś do mnie tu starała się przyjechać — nigdy nie słyszałaś głosu mego... Wystawić sobie łatwo możesz moje straszne oszukanie, odbierając dziś na pocztę twój list, droga moja, z dnia... czerwca, tak długo oczekiwany. Trzymałem go w rękach, drżąc z radości i mówiąc sobie: on zapewne o kilka godzin tylko bytność tu twoją poprzedza; oto ją dziś obaczę — dziś będę przy nogach



jej, dziś na jej umiłowaniem sercu odpocznę. O, droga moja! Jakże mi bolesny był ten list, cały pełny wymówek — o, jak bolesny! Bóg to jednak sprawił, że z tyłu listów w pierwszej chwili przybycia mego do Wrocławia, bilecik, który odebrałaś przez przyjaciela, był pisany po pierwszym moim noclegu u nieznanomego ziomka, który mię na noc przyjął, bo nie wiedziałem, czy mi otwarcie zanoćować pozwolą; inne dwa listy, które, jak widzę, aż w miesiąc ciebie doszły, były także wtenczas pisane, gdy miałem nadzieję, że sam do Ciebie pojedę, a trudów ci podróży oszczędzę... Oprócz tych listów ileż jeszcze innych pisałem!... A wszystkie bez odpowiedzi... Lecz, droga moja Matko, jest w tem trochę i twoja wina, bo twój list ostatni tak bladym bardzo pisany jest atramentem, tak niewyraźnie przytem adresowany, że go dopiero we trzy dni później wynaleziono — i mógłbym bezustannie chodzić na pocztę, a ten list nie pod literę S, jakby należało, lecz pod inną, albo H. włożony, mógł przez rok lub dłużej tam pozostawać. I teraz, czemu mi nie przysłałaś nazwy tej ulicy, gdzie mieszkasz, i numeru domu? Czemu i ten list na poste-restante mi oddany, a nie przez briefregera rzucony? Ty myślisz, że wszyscy ludzie tacy są domyślni i pełni dorozumiewania się i odgadujący boleść w listach zawartą? Ale dosyć o tem. Przyjeżdżaj, droga — a nie opóźniaj się, bo chciałem już z rozpacz, tak, jak mi nakazano, do Paryża jechać — bo czułem, że wszystko, co mogłem, dla skomunikowania się z tobą, byłem uczynił, a tyś w tem i Fil, gospodarstwem zajęty, nie dopomagali. Niechże więc teraz jasno będzie tobie, jak mnie znaleźć. Krótko Ci więc i wyraźnie piszę te cztery punkta:

1. Przyjeżdżaj i zaraz mi listem donieś o dniu twego przyjazdu, abym mógł Cię przez parę choćby wieczorów oczekiwać na debarkaderze drogi żelaznej.

2. List, donoszący mi i wszystkie inne adresuj: à Madame Sophie Mielęcka, Breslau, Tauenzienstrasse Nr 69.

3. Przyjechawszy tu, gdybyś mnie na debarkaderze nie znalazła jakim dziwnym trafem, to każ się natychmiast zawieźć do hotelu *Weisser Adler* i stamtąd zaraz poszlij do mnie człowieka z karteczką, którą niech zostawi, gdyby mnie w domu nie zastał.

4. Człowiek niech pójdzie po mnie na ulicę *Neue Schweidnitzer Strasse Nr 3d*, drugie piętro, dzwonek na prawo, a jeśli nie znajdzie mnie w domu, to niech karteczkę twoją zostawi.

Cóż więcej do tego dodam? Z mojej strony nic więcej teraz dla widzenia się z tobą uczynić nie mogę; dowiesz się,

że więcej nie mogłem.. Oparłem się interesom, które mię ciągnęły nazad do Paryża, rozkazowi wyższemu, tak że — czekam od miesiąca z tęsknotą nie do opisania, z rozgniewaniem prawie na te jakieś skrzyżowanie się listów, które mi ciebie widzieć nie pozwoliło. A ty sądzisz, że ja objętny, i mówisz mi, że gdybym był pozwolił, tobyś już dawno była ze mną. Nielitorna ty jesteś — a gdybyś miała więcej wiary w serce moje, tobyś na pozwolenie moje nie była czekała, ale uczułaś wołanie serca mego i rozpacz moją... O, proszę, skończ to wszystko i utul mię w rękach twoich wysiadająca z powozu... tu — jak najprędzej!...

Twój JULIUSZ SŁOW.

130.

*Ostenda, d. 14 lipca 1848 r.*

Najdroższa moja! Otóż jestem w Ostendzie; dziś rano już się kąpałem w morzu, już obmyłem się z potu gorzkiego, który mi w udręczeniach moich na twarz występował — jużem znów odhartowany na służbę bożą. Ale boleśnią miałem drogę; ta myśl, że się znowu od was oddalam, ciągle mi siedziała na sercu. W Dreźnie nie znalazłem pani Bobrowej i dzień cały niedzielny przepędzałem w nudzie aż do wieczora; wieczorem bowiem napotkał mię jeden ziomek, o przybyciu moim uwiadomił innych, tak, że zaraz (już nie u Periniego), ale na promenadzie pod drzewem musiałem dawać posłuchanie licznej przyjaciół gromadce, a tak byli liczni, że pani Branicka, córka Hermana, siedząc daleko, pytała ojca, co to tam się dzieje, że się tak wszyscy zbiegli i tak się witają.

Nie uwierzysz, droga moja, jak mi było miłe to zapytanie młodej a znanej mi dzieckiem kobiety, która się liczbą miłujących mnie ludzi zdziwiła.

Z Dreznia wyjechawszy, przez dwie noce stawać musiałem na kilka godzin w hotelach, a w snach krótkich, w których napół czuwał duch mój, tyś mi się ciągle śniła. Myślałem sobie, że ty może także podróżujesz, dojeżdżając do Lwowa i, bezsenną będąc, myślisz o mnie, a myśl twoja przylatuje i czuwa nade mną śpiącym. Teraz nareszcie nałożyłem trzy godziny drogi, aby się orzeźwić morską kąpielą i zebrać ducha przed powrotem do Paryża. Za dni parę wyjadę stąd.

Oto jest cała podróż moja, smutna i milcząca, ust prawie nie otworzyłem, jadąc; powozy leciały ze mną, leciały, jak chmury... Niech mi Bóg będzie litośnym! Nie uwierzysz,



droga, ile ty teraz zajmujesz miejsca w myślach i w uczuciach moich codziennych. Wierzę w słowa twoje ostatnie, wiem, że mnie czujesz i kochasz mnie takiego, jak jestem, a to mi zdjęło z serca najboleśniejczy kamień... Zawsze się lękałem, aby ci, na oczach stanawszy, nie być boleścią i dni twoich nie zatruć. Ale tyś się zgodziła z wolą Boga, oddałaś mnie Jemu—wszystko największe spełniłaś. Zwycięstwo twojej miłości nade mną jest zupełne. Nic niema we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach twoich Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła! Czuję teraz wielką miłość twoją, a już nie lękam się, aby serce twoje pękło z jakiegokolwiek, ode mnie zadanej mimowolnie boleści, i to mi jest uspokojeniem.

Cóż ty teraz robisz? Na co patrzą oczy twoje? Może ty na wsi pod pięknymi lipami, otoczona żeńców gromadą, a Fil leży spocyny pod drzewem, a Syli poziomki ze śmietanką przypawia, a Fortunat jaką książkę czyta? Wszystko to mogło być i mojego życia godziną, ale ty wiesz, że nie mogło. Felusiovi już kazałem w Paryżu dać cokolwiek pieniędzy, lękając się, aby mu mój pobyt w Ostendzie nie był kilku dni stroskanych przyczyną.

Interesa moje poprawiają się. Do pani Bobrowej do Wiesbaden pisałem. Tu jednego tylko znajomego, dość obojętnego mi, spotkałem. Kąpiel morską mi posłużyła, bo katar nosowy wywołała. Oto są wszystkie realności mojej nowiny.

Bądź zdrowa, droga i ukochana moja, a przed Filami usprawiedliwiał mnie; tak, jak sama usprawiedliwiasz mię w sercu swoim! Wierz, że jak najprędzej będę się starał, abym żył z tobą, i z wielką radością widziałem, że podróż z Wrocławia aż do Ostendy zaledwo mię dwadzieścia talarów za powozy kosztuje. Z Paryża mało co dalej, a zatem mało co więcej będzie kosztować. Dawniej z Genewy do Paryża tyle trzeba było zapłacić, a przecież to mi się sąsiedztwem wydawało. Wszystko się ułatwia. Bądźmy spokojni, a ty czasami czytaj ewangelią i Ducha Świętego przyzywaj, aby ci dał mocy dla Ciebie i dla mnie. Bądź zdrowa, droga!

JUL.

131.

*Paryż, 1 sierpnia 1848 r. Pontlieu 30.*

Droga Matko moja! Już drugi list twój kochany odbieram i wstydzę się, że jeszcze nie zebrałem się pisać do Ciebie. Pisałem z Ostendy, gdzie się kąpał w morzu i kilka

dni odpoczywał, chcąc zebrać myśli moje przed przybyciem do mego pustelniczego mieszkania. Mieszkanie to, z niskimi sufitami, zdało mi się maleńkie i ciemne. Szerzej mi było i przestronniej w waszych stronach. Miletus mój dobry i zawsze jednakowy<sup>1)</sup>, przyjaciele moi nie zmienieni w niczem, interesa trochę polepszone, ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno, i nie wiem, czemu energii zwyczajnej odzyskać nie mogę. Może to ty, droga moja, popsulaś mię twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną. Któż mi ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni? Interesy książkowe tak prędko mi załatwiłaś, że się aż zdziwiłem. Widzę, że ty żywa i umiejąca chodzić po świecie za światowemi rzeczami; ja, przeciwnie: ciężą mi one, a co powiem więcej, przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony ze książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszurowi; chciałem przesać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarenek czystsze go zboża dać moim miłym na siejbę. Nadto wysoką waży teraz ducha Polski. Wstyd mi wielu melancholii byrońskich, strach, aby one nie zarażyły innych. Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, posłę wszystkie żądane książki, zniżywszy je tak w cenie, aby frank znaczyl złotówkę—wtenczas większe tomiki po pięć złotych, a mniejsze po trzy albo po cztery wypadną. Sądzę, iż to nie będzie za drogo, zwłaszcza, jeżeli księgarz poosobno dzielka te żądającym przedawać będzie...

Od Stattlera jeszcze żadnego listu nie miałem. Co do medalionów—te trzeba kazać odlewać na nowo, i to w znacznej liczbie, bo jednego, ani dwóch nikt się nie podejmie zrobić; skoro więc ułożę się o to ze sycerczem, posłę, jak żądasz. Wyznam ci jednak, że mi to z trudnością przychodzi samemu o własnej twarzy myśleć; ty nie wiesz, jak to upokarza, jak szkodzi! Uczynię to jednak niezawodnie.

Otóż są wiadomości, krótko zebrane, z których ty, droga moja, znając mnie, łatwo sobie odtworzysz życia mego teraźniejszego historią. Co do ducha mego, ten stoi we mnie zamyślony i słuchający, myśląc, jakby to usłużyć czem ludzom, a nowej siły dodać, któraby we wnętrzoście ludzkie wbiegła i działała. Pokoiki moje działały na mnie sposobem kaplicy, w której człowiek przez świętość jakąś jest wzmacniany i do zwyczajnego tonu podnoszony. Cicho mi w nich,

<sup>1)</sup> Milet, odźwierny domu, w którym Juliusz mieszkał.



a zarazem coś takiego jest, co do czynności ducha mego natęży, że między czterema ścianami zostać nie chce, a na cały świat rozlać się pragnie. Pomóż mi częstym za mną westchnieniem do Boga.

Otóż Feluś do mnie przychodzi, kończę więc droga Matko moja i drodzy Filowie moi, wszystkich was z ukochaniem całując i Fortunatowi dziękując za dobrą usługę...

WASZ JUL.

135.

*Paryż, 11 września 1848 r.*

Droga moja! Znów listu dosyć długo od Ciebie nie odbieram i w niespokojności jestem, nie wiedząc co postanowiła względem twego wyjazdu.

Co do mnie, zdrów jestem i przez kilka dni, w samotności, na którą mnie wystawił odjazd moich kochanych, Felusia i gdańskiego przyjaciela, pokrzepiłem się znacznie w sobie, bo samotność jest mi czasem potrzebną dla odzyskania wewnętrznej sprężystości. Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią. Duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie; wiesz, droga, że ich dla przepędzenia czasu ani dla zabawy nie szukam; idę do nich, jak siła po siłę i dla siły — czasem odchodzę rozbrojony, jak kropla karminu, w wiadro wody wrzucona, już nie odzyskana. Ale ja, droga moja, odzyskuję sam siebie, bo zawsze jakąś część zostawiam w światłach najwyższych bożych, która mi powraca i oświeca resztki pozostałych sił we mnie duchowych. Tak umocniwszy się, bardzo i bardzo, z wielką żądzą myślę o przyszłej wiosnie, chcąc porzucić na zawsze te oddalone stanowisko, a przenieść się bliżej i choćby pielgrzymować od kąta do kąta, byle tylko być pożytecznym.

Nie żałuję wszakże tego, że wrócił—i, chociaż słyszę o wielkiej łatwości teraz przebywania w waszych okolicach, nie mówię, że źle uczynił, teraz z niej nie korzystając. Dlaczego tak jest, z trudnościami to wytłumaczył.

Feluś pisał do mnie z Tyrolu list precudnej piękności i wielkiej wagi dla mnie, bo pisał go już jako człowiek zupełnie i pełny wiedzy; jest to więc skarb na przyszłość i jeden z tych, którzy mnie o przyszłość uspakajają, bo w gwardyę waszą narodową nie ufam. Podobnie z Krakowa miałem od jednego z młodych moich braci piękne przypomnienie się.

Nigdy jeszcze tak listami nie żyłem — listy bowiem te już nie są prostą gawędą rozdzielonych znajomych. (Cóż po nich! Trzebaby chyba znać kilkakroć sto milionów ludzi, którzy glob zamieszkują, i z nimi korespondować). Ale listy od ludzi, już podobnych sobie wnętrznościami ducha bożego, są prawdziwie zlewaniem się światłości i spromieniają się w duchu. O, jak dobrze mógł odetchnąć odetchnieniami ludzi, porozrzucanych po ziemi, którzy w westchnieniu o jedno proszą: aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość i spodobnił sobie różne skarykaturowane ludzi natury i miłość wzajemną rzeczą podobną, a nawet konieczną uczynił.

Nic mi nie braknie w tem uweseleniu ducha mego, tylko, żebyś ty, droga moja, całkowicie z mną była, bo mnie to czasem zasępia, gdy myślę, żeś ty może odjechała, o tej spokojności ducha mego niezupełnie przeświadczona, a zatem sama jej nie mająca; listy twoje są pohamowane, i nic się z nich nie wydobywa, tylko, że zawsze jesteście dla mnie miłująca i laskawa. Błogosławieństwa twego zupełnego nie mam, w pociechach moich udziału nie bierzesz, chociaż wiem, że cierpiałabyś, gdyby mi się co bolesnego przytrafiło.

Myśląc o Filach, także mi nieraz smutno, bo czuję, iż oni większego szczęścia są warci i zdolni, niż to, na które teraz pracują. Przychodzi mi na myśl smętna karteczka Fila, gdzie mi się tłumaczy, iż w pracy swej cieszy go ta myśl, że ktoś po jego śmierci będzie z niej korzystał, a jemu wspomnienie poświęci... «a może też (powiada) nie wspomni, ale od Fila szczęśliwszy swój los trzymać będzie». Zaprawdę — cóż odpowiedzieć sercu, które się najszlachetniejszych uczuć wysokością broni i zakrywa przed ducha napaścią — które w czułość uderza, aby rozbić natrętne braterstwo? To jedno chyba, że zasępiając ducha swego, większą mi stratę przynosi na ziemi rzetelną, niż gdyby mi jakiego był uszczerbku powodem w fortunie mojej terażniejszej. Bo jego zbytnia troska i zapatrzenie się w ziemi robi mi go obcym i dawno już pozbawiło mię listów jego serdecznych, które dawniej tak miłe mi były, że sam wzrok, rzucony na charakter jego ręki, sprawia mi dotychczas najwyższe wrażenie. Czuję to, ilekroć stare moje papiery przerzucając, znajdę który z listów jego; zda mi się, że w tych liniach, tak prostych i kształtnych, jest pełno ducha łagodnej wesołości i pełno kolorów. Teraz już dawno zapyłone u mnie leżą, a jednak zawsze uderzają oczy moje, jak kartki, pełne właściwej sobie światłości, która mi, młodszemu, przychodziła od wuja, przemieniającego się powoli na brata Weż—że go ty, droga moja



Matko, rękami za ramiona, oczyma wypytaj oczu jego, a potem wstrząśnij i obudź z tego letargu, w którym on może tylko względem mnie zostaje, podobny do umarłego, bez polotu wielkich żąd duchowych, które aż poza granicę ziemi wylatują z człowieka. A czynią to, że do ziemi tylko tyle sił człowiek zastosowuje, ile potrzeba, gwałtownością swoją nie strasząc i nie paląc ducha cichego łańów, który chce pod spokojnością bożą człowieka rodzić, jakby jakiemu Bogu błogosławiącemu poddając żniwa swoje.

Jeśli cię ta wioska dreczy, Filu, rzuć ją, a przyjeżdżaj tu pracą osobistą zyskiwać życie. a szczęśliwszy będziesz, i ja ciebie, jak brata, mając, serce przy sercu, mocniejszy będę. Z niewoli się wydobywajmy, najdrożsi moi, a nad niewolę głodnego żywota straszniejszą jest jeszcze niewola żywota przepędzonego w rozpacz aż do końca! Ale oto i papier się kończy.

Całuję was, najdrożsi, i proszę o zmitowanie się miłośne dla mnie.

JUL.

136.

(Do T. Januszewskiego).

*Paryż 9 października 1848 r. Ponthieu 30.*

Do kochanego Fila.

Kochany Teofilu! Wczoraj Reitzenheim przyniósł mi uściśnienie twoje, przyniósł tyle miłości twojej, takie dobre, serdeczne od ciebie zaprosiny, że cały rozweselony jestem, żalując tych tęsknych wyrazów, które w liście ostatnim pisałem.

Nie przepaszam cię za nie, bo sądzę, że miłość twoja jest to rzecz, o którą mi się nawet srogo upomnieć wolno, bo nigdy nie zgrzeszyłem przeciwko tobie i kochałem cię serdecznie, szanując ciebie jako najszlachetniejszego człowieka, tak, że gdyby nawet nie rodzinne nasze związki, jeszczeby mi smętno było, widząc ciebie względem mnie oziębłym. Zdawało mi się, żeś podzielał z ludźmi zwyczajnemi tę pospolitą opinią, która mnie i moich braci ściga teraz zaciekle, bez wyrozumienia, bez sprawiedliwości, jedynie przez tę nieszczęśliwą duchów niższych chorobę, która wszelkiemu wzniesieniu się idei nad powierzchnią jej terażniejszą, staje zawsze oporem. Smętno mi więc było, żeś nie starał się mnie samego wy badać, w ducha mego głębi znurtować, aleś niby odstąpił i powiedział: «No, Julek teraz stracony». Bo wyznaj,

Filu, że tak sobie powiedziałeś w sumieniu twoim, sądząc, że już wyegzaltowany, nigdy się na nic nie przydam tej ziemi, ani się imię pług, który innych ludzi tak ręce morduje.. Otóż przeciwnie się dzieje, kochany Teofilu. Właśnie ta część sentymentalno - dumna natury mojej, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie, a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrzem świecących, a że nie jestem bez miłości sprawiedliwej, dowiodę ci kiedyś, przyjechawszy do domku twego.

Tak, Filu — najrzetelniej ci powiadam, że z najwyższą radością wybieram się do was na wiosnę; wszystko tak urządzam, ażebym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka. Teraz wszakże zdrów jestem i po napieniu się waszego powietrza ożywiony, ale zły i skłonniejszy do gniewu i do dysput z ludźmi, co mi pokazuje, że duch mój stracił wiele z mocy wewnętrznej i z miłości. Żle także nań działały dzienniki wasze, które przywiózł mi Reitzenheim. Ciągły w nich materializm, a co gorsza, że dosyć wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej nigdzie! Człowieka także, z siebie mówiącego, nigdzie nie słychać. Nic twórczego. Duch Święty nie wionął na waszą okolicę. Nikt nad szumem łańów nie wznosił się i nie przeszedł się ze spokojnością Chrystusa. To, cośmy zdarli na emigracyi, dawne szaty nasze, u was są nowością; ciekawość macie i z nią tylko zbliżacie się do tej wolności, która na próby będzie wystawiona, jeżeli ją kto wam doskonale stworzonej i świecącej wrzód nie pokaże. Dlatego to, Filu mój, nie czulem się dość mocny, abym wpadł w to morze ciężkie i ołowiane, a jednak niby wzruszone i wałami swojemi gdzieś niby naprzód idące. Jeszcze nie czas na południowe prowincje! Ale już słońce wschodzi dla Polski.

Chciałbym o tem wszystkim obszerniej z tobą pomówić, choć listownie, i spodziewam się, że, nieco wolniejszy z ziemi, pozwolesz mi obszerniej z sobą korespondencyi. Teraz nie wiem, czy cię ten list dojdzie, boście mi adresu swego nie dali, a poste-restante listy pisane, wiem, że często przez was reklamowane nie są - daj mi więc, proszę, adres nowy i powiedz mi, czy do ciebie pisane listy do Matki mojej pójdą, czy zaś osobno do niej w listach twoich drugie listki zawierać mogą? Zawsze proszę cię, abyś listy rozpierzchłowywał i patrzył, co do niej, a co do ciebie. Mogą być albowiem różne rzeczy, które, nie do ukrywania przed nią (bo nigdy kłamać nic Matce nie mogę), ale potrzebują wszakże mniej śmiałego języka.



Dziękuję ci za pomówienie z księgarzem; w zyskach jego nic nie chciesz zmniejszać, owszem, staraj się, aby miał zyski znaczne, któreby go do rozsyłania książek zniechęciły.

Ścisłkam cię i Sylki kochanej nóżki całuję.

JUL.

139.

*Paryż, w grudniu 1848 r.*

Najdroższa i najukochańsza moja! Ostatni twój list, pełny czułości i dobroci, był mi prawdziwie potrzebny, bo mię wiele rzeczy bardzo udręczało, a nadewszystko ta myśl, żeś ty nieszczęśliwsza, niż przedtem, w miłości twojej dla mnie do domku swego jechała niby zawiedziona i, w tych biednych resztkach nadziei, któreś z sobą była przywiozła. Ale tak nie jest, nieprawdaż? Ty już szczęście moje widziałś w mojem widzeniu szczęścia — i poza uczuciem mojem nie szukasz dla mnie radości. Byłoby to próżno, a ty sama wiesz, że nie pozór szczęścia, ale rzetelność jego, to jest *uczucie*, szczęściem jest. Idzie więc o to, abym był zdrow, i taki, jak jestem, długo zachował się dla ciebie. Staram się o to wszystkimi siłami, a więcej nie mogę. Bóg może i to, abym był przezeń umiłowany, może mi przyczynić trwania na ziemi.

Proszę cię więc, nie obrażaj Pana naszego i Ojca naszego, a jeśli chcesz jakiej we mnie odmiany, Jego proś o to, nie mnie proś!.. Bo, co do mnie, wszystko czynię, abym cię kiedyś mógł choć cokolwiek rozradować i szczęśliwszą na świecie uczynić.

Matka Zosięni<sup>1)</sup> jest tu i znajduje mnie znacznie poprawionym na fizyognomii od czasu, jak mnie w Ostendzie widziała. Piszę ci to, bo świadectwu obcemu więcej w tem zawierzyć można, niż własnym oczom i zwierciadłu. Wnętrze zaś moje zdrowe jest, do wiosny całym pędem myśli moje leca, bo mi już do kaszy Filowej tęskno, i chcę, aby mię File choć trochę podźwignali na sobie, a ja za to będę ich mowami mojemu ruszał i gniewał i burzliwością wewnętrzną domku od smętnych za domkiem rzeczy odwracał.

Wiosna więc jest teraz celem moim, a pierwsza to od wielu lat zima, która się dla mnie toczy z jakakolwiek na końcu rozradowania nadzieją I ty, droga moja, ufaj, że nie

<sup>1)</sup> Pani Bobrowa

zawsze będziesz samotną! Teraz całuję biedne oczy twoje, zapewne zapłakane i na dawne ścieżki patrzące. Całuję cię, u nóg twoich.

JUL.

140.

(Do T. i H. Januszewskich).

*Paryż, 22 stycznia 1849.*

Drodzy moi! Skarżyłem się na rzadkość listów waszych, bo odebrałem dwa pierwsze, ale dwa listy w przeciągu sześciu miesięcy nie mogły zaspokoić serca mego. Brak listów od drogiej mojej był mi prawdziwie bolesny. Teraz, gdy obaczył pismo jej kochane, już mi dobrze na sercu, zwłaszcza, że pismo to było pełne niepojętej uroczystości, o niebiosia rozognione odbite i podniesione w duchu, tak, jak mi było potrzeba czuć ducha ukochanej mojej, który już wysoko wsluchany jest w głosy niebieskie i czujny, i nie na samej już tylko ziemi dobra swego patrzący. Przemiany światel poprzedzają przemiany dusz, a w tym jest cała tajemnica przyszłości.

W dzień wili czułem wasz smutek, czułem was w domku waszym; teraz widzę, jakeście rozeszali po chatach jado i siedzicie samotni, oczekując, czyli się nie nawrócą ku wam serca ludzi. O, nie — nie nawrócą się te duchy, ale z urąganiem będą w brzuchy łać słodkie mleko makowe, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nie otchnięte, tak, aby prawdziwie we wnętrzościach zasmakowało. Nie, Sylli moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. Znałaś miłość dziewiczą, panięską — miłość zawsze jest jednej natury: jest to czar, który do nas pociąga — albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to, a nawet, choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcic, prawdę powiedzieć gorzką, wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć się — a gody to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską.

O braterstwie gadają teraz ludzie — i źle gadają, bo od ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się choć z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie



wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. Mocno, mocno chciałbym być z wami; wypowiedziałem nawet mieszkanie moje, zawsze w tej nadziei, że można będzie was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje; byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie lekarstwo niby na strudzenie ducha mego. Bo, co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym was obaczyć i z wami pożyć potrzeba, a raczej powiem: chce się, tak, jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie, wolno i lubo.

Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cielesnie w niedostatku przecierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z wami. W snopku się ukryć i siedzieć — już nie czuję mocy. Cóżbym robił? Chyba, jak świerszyk, pstrykał w której belce staruszcze-matce domku waszego.

Kochany Filu, pytasz mi się już po raz trzeci, czy mi groszy nie potrzeba? Otóż szczerze ci mówię, że teraz mam zapas i nie jestem w żadnej potrzebie. Gdyby inaczej było, powiedziałbym wam, bo mi to teraz bardzo łatwo powiedzieć.

Radbym, ażebym nikogo nie obciążył, ale, jeżeli przyjdzie potrzeba, to na was się oprę i wiem, że mi ze swego, co będziecie mogli, udzielicie. Wasze powodzenie jest zarazem spokojnością moją. Księgarza bardzo często nie napastuj, od niego zaś, jeżeli się zbierze cokolwiek, to mi przyslij, bo te pieniądze idą na potrzeby moje urojone, których ja sobie nie pozwalam, tylko w miarę przychodu. Skoro więcby sumka przeniosła sto fr., przyslij, nigdy jednak przez okazją, ale drogą kupiecką, wekslową.

Całuję was i ściskam, drodzy moi, prosząc, abyście Ukochanej mojej przesłali w tchnieniu listu waszego moje pozdrowienie i ucałowanie nóg i rąk jej biednych.

Wasz JUL.

141.

(Do T. Januszewskiego).

*Paryż, w lutym 1849 r.*

Mój kochany Filu, mój najdroższy przyjacielu, raz na zawsze piszę ci, abyś wiedział, że nie jestem człowiekiem delikatnym. Owszem, delikatność ugrzecznionego człowieka uważam za szataństwo. Cóż to jest bowiem? Oto człowiek,

poznawszy twoją słabość, zbliża się do ciebie i tak gada albo obchodzi się z tobą, aby nigdzie rozranionej części charakteru twojego nie rozdrażnić; jest to więc w istocie oszust, który w głębi ducha wywyższył się nad ciebie. przeznał ciębie do gruntu i obchodzi się z tobą, jak z dzieckiem. Uchylbia ci, jako człowiekowi, którego na równi z sobą położyć był powinien — szkodzi tobie, jako aniołowi nieśmiertelnemu, prawdę przed tobą zatajając — czyni to wreszcie dla powodów egoistycznych, chcąc się przypodobać tobie, aby cię miał jednym więcej człowiekiem w gromadzie ludzi, których podobną grzecznością i delikatnością zdobył i ma na swoje usługi. Nie sądz mię więc podług miary zwyczajnej ucywilizowanego świata, gdy czytasz listy moje. Ty bowiem często może sądzisz, że ja się ukrywam w sądach moich, że nie mam mocy powiedzieć ci prawdy, albo poprostu o pieniądze prosić ciebie, zażądać ich od ciebie. Poprostu, Filu mój kochany, pisałem i piszę ci, że mi teraz pieniędzy moich na życie wystarcza; jeżelibyś więc mógł ich lepiej użyć dla zagospodarowania się w nowej siedzibie, użyj. Gdybyś zaś chciał je na papierach umieszczać, to raczej przyslij mi je tu, bo zysk z nich większy i pewniejszy w tych czasach i większa łatwość zrealizowania w dniu jednym.

Co zaś do kupna i przykupywania ziemi, najmocniej się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, literalnie, mówię, tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżające się najbliżej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego i w wolności, połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały.

Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się niemi.

Ziemie *obszerne* robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój — gdy przeciwnie, w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współzujących.

Gdy cię chce kto ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znowu ujarzmiela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jed-



nym możesz oddać wszystko, co masz, a twej miłości za-  
dość uczynić.

Mówię więc, kawałek ziemi miej, i to nie wioskę, ale  
folwark, bardzo obfity i zamożny... Jeżeli trzeba, kilka jesz-  
cze takich folwarków zbuduj i puść chłopom - parobkom  
w dzierżawę, ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek,  
ani sądz, iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem,  
najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których  
teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić  
tam. Skąd niedawno wyszedłeś. Powtarzam ci więc, raduj się  
tak, jak ja się raduję, że, mając kawałek ziemi, mamy przy  
tem choć szczipkę pieniędzy, przy których zostać możemy,  
albo które w razie czynu pozwolą nam być ludźmi, nie-  
związanymi ziemią. Nie wrastajmy w grunt, jak dęby, ani  
chciejmy podobnej dębom trwałości; duchy dębów cierpią, że  
sobie na lat tysiące piekielną nieruchomości u Boga uprosiły,  
ptakom zazdrosczą, komarom nawet, które chwilkę żyją we-  
soło, w złotym słońca promieniu ulatując, gwoli duchowi, któ-  
ry ulatywać pragnie.

Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem *klucza*, bo się  
zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi i w glu-  
pocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien  
wolności.

142.

(Do T. i H. Januszewskich.)

*Paryż, d. 4 marca 1849 r.*

Kochani moi! Po ostatnim liście, który, jak przypominam  
sobie, był bez daty, piszę tych słów kilka, abym was nie  
zostawił w długiej niespokojności. Słabość moja, skutek  
wiosny wczesnej i słońca gwałtownego, minęła, i znów jestem  
w zwyczajnym stanie zdrowia, nieco wszakże osłabiony.  
Żyję więc jak kawał drewna, nie puszczając myśli mojej w żad-  
ne obszary, abym ciała mego nie mordował, i wyglądam  
z niecierpliwością, azali jakie wypadki pomyślne nie pozwolą  
mi przenieść się do was i odetchnąć waszem rzeźwem, pod-  
lipowem powietrzem.

Napisz mi, co sądzisz o tem i jakie są twoje rady. Spo-  
dziewam się, żeście kochanej Sali nie zaniepokoiłi moją prze-  
lotną słabością — chociaż mocniejszą jest ona teraz po wi-  
dzeniu się ze mną i świętszą w duchu, i łatwiej z wolą bożą  
zgodzić się umiejacą.

(Tylko dla Filów).

Proszę cię, kochany Filu, nie troskaj się zbyt o jutro;  
wierz mi, że w ostatecznym razie, gdyby nam przyszło żyć  
z okrucich naszego mienia, gdyby największym dochodem  
było paręset rubli z książek moich, to jeszcze i tak, byle  
razem, gdzie w miasteczku waszym osiąść można; żylibyśmy  
wesoło, z jednego garnka jedząc porcję krupniku i zapiwszy  
ją szklanką podpiwku, a miłość ludzka ani poszanowanie  
ludzkie od nasby nie odstąpiło. Bo Bóg z nami. Zresztą,  
cóż to jest chcieć kogo na przyszłość materialnie zabezpie-  
czyć? Oto ja, mój Filu, (piszę to tylko dla ciebie, sam  
czytaj!) kilka dni temu byłem mocno bardzo krwią zaatak-  
wany, która mi się po wielokroć razy z ust wypluwać da-  
wała; teraz zamknęło się uście, i żywot mój w łono moje  
powrócił, ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego,  
który mię już chciał, jak żołnierza, od was wziąć, a na  
inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować.  
Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu,  
znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano.

Zrobiłem, będąc chory, testament krótki w 2-ch paragrafach:  
w pierwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję  
wszystkie prawa moje Matce i Tobie, Teofilu, mianując was  
wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi, z wyłączeniem  
wszystkich jakichbądź innych osób — w drugim paragrafie  
czynię egzekutorem testamentu względem moich paryskich  
pozostałości przyjaciela mego, człowieka złotego serca, pana  
Charles Pettiniaud Dubos, mieszkającego teraz w Paryżu na  
ulicy de Londres 29, z tym warunkiem, aby zaraz wziął  
wszystko, co posiadam, przed wdaniem się rządu ochronił  
i, spieniężywszy, sukcesorom odesłał. Zapisz więc sobie na-  
zwisko tego kochanego Pettiniaud i w razie każdego do-  
nego się udaj po przyjacielsku. Nie zawiedziesz się. Przyszłę  
ci wszakże kiedyś notatkę moich sumek i moich żądań;  
chciałbym zwłaszcza, aby Millet, portyer, nie był zapomnia-  
ny, który spał przy mnie i po bratersku mi służył. A te-  
raz, proszę cię, wygluzuj z dziennej pamięci ten ustęp listu  
mego i tę kartkę wyrzuć za płoty. Niech w niej makolągwy  
Ubienia gniazdeczka sobie ściela. Gdybym był umarł, już był-  
bym z wami — a tak trzeba mi będzie jechać do was, a mam  
nadzieję, że pojedę. Z domu jeszcze nie wychodzę i bardzo  
się szanuję, a Bóg mię też leczy, przysyłając mi różne do-  
wody z daleka miłości, którą mam u braci moich, pracą  
ducha zarobioną.



### Zakończenie.

Był to ostatni list do rodziny pisany. Zaatakowany postępnymi coraz gwałtowniej rozwijającej się choroby dziedzicznej w jego rodzinie, Słowacki zmarł na suchoty gardlane d. 3 kwietnia 1849 r. w obecności dwóch najserdeczniejszych przyjaciół swoich: Felińskiego i Pettinaud. Oni też zajęli się gorliwie pogrzebem, który odbył się d. 5 kwietnia. Z powodu szczupłych funduszków poety, Feliński zakupił przedewszystkiem za 500 fr. grób na własność wieczystą na cmentarzu Montmartre. Niezabalsamowane ciało Słowackiego, złożone w trumnie czarnej z białym krzyżem na wieku, wystawiono w kościele właściwej parafii Saint-Philippe du Roule, gdzie odbyło się nabożeństwo żałobne. Późem najskromniejszy, bo 9-ej klasy, karawan, powiózł o godzinie 12-ej śmiertelne szczątki poety na Montmartre. W orszaku żałobnym postępowali Feliński, Pettinaud i garstka zaledwie obojętnych, niegłośnych nawet nazwisk polaków, gdyż jak objaśniono wyżej, cała prawie emigracja, z wyjątkiem starców i dzieci w r. 1848 sformowała się w legiony i wyruszyła bądź w Poznańskie, bądź do Galicji, ażeby wziąć udział w wypadkach ówczesnych. Na mogile poety staraniem i według rysunku Pettinaud wzniesiono ładny, choć nietrwały pomnik: na odłamku skały krzyż owinięty bluszczeniem, u spodu krzyża medalion dłuta Władysława Oleszczyńskiego. Pomnik ten odnawiany był następnie kosztem matki, a przed laty kilkunastu ze składek publicznych, wreszcie w 1894 r. staraniem Komisji opieki nad grobami polskimi w Paryżu. Szczegóły ostatniej choroby i zgonu Słowackiego opisał pod wpływem świeżego wrażenia w liście do Teofila Januszewskiego z dnia 17 kwietnia 1849 r. Szczęsny Feliński.

Pani Bécu po stracie syna żyła jeszcze lat sześć, zmarła bowiem podczas grasującej w Krzemieńcu cholery d. 26 lipca st. st. 1855 r., mając lat 64, zaś Teofil Januszewski zmarł w Ubieniu d. 25 marca 1865 r.



260607/2



2. **Mickiewicz A.** Grażyna. — 6  
 3. — Konrad Wallenrod. — 10  
 4. — Farys, Sonety Krymskie, Almotenami, Szanfary — 5  
 5. **Słowacki J.** Anelli. — 10  
 7. **Konopnicka M.** Ziemia polskie. — 20  
 8. **Malczewski A.** Marja Powieść. — 12  
 9. **Brodziński.** Wiesław. — 5  
 10. **Goszczyński** Sobótka. — 5  
 11. **Krasicki I.** Bajki i przypowieści. — 10  
 12. **Pol W.** Mohort. Rapsod rycerski. — 15  
 13. **Słowacki J.** Ojciec zadziurnych. — 8  
 14. **Syrokomla W.** Janko cmentarnik — 7  
 15. — Jan Dęboróg. — 10  
 16. **Zieliński G.** Kirgiz. — 8  
 17. **Pol W.** Pieśń o ziemi naszej. — 5  
 18. **Niemcewicz J U** Śpiewy historyczne. — 15  
 19. **Kraśiński Z.** Przedświt. — 5  
 21. — Psalm miłości. — 7  
 22. **Syrokomla Wl.** Ułas. — 10  
 23. — Kęs chleba. — 7  
 24. **Lenartowicz T.** Lirenka. Cz. I. — 5  
 25. — Lirenka. Cz. II. — 5  
 26. **Mickiewicz A.** Bajki i Powiastki. — 5  
 27. **Słowacki J.** W Szwajcarji. Erotyki. — 10  
 28. **Mickiewicz A.** Ballady i Romanse. — 12  
 29. **Kochanowski J**  
 30. **Krasicki I.**  
 31. **Kraśiński Z**  
 32. — Poezje  
 33. **Korzon T.** Grun...  
 34. **Glatman L.** Wielka wojna  
 35. **Słowacki J.** Poezje religijne  
 36. **Kraśiński Z.** Poezje liryczne Cz. II. — 10  
 37. — Poezje liryczne. Cz. III. — 10  
 38. — Noc letnia. — 12  
 39. **Słowacki J** Poezje liryczne. Cz. I. — 8  
 40. — Poezje liryczne. Cz. II. — 8  
 41. — — — Cz. III. — 10  
 42. — Genezis z Ducha. — 10  
 43. — Zawisza Czarny — 25  
 44. — Wybór listów. Cz. I. — 25  
 45. — — — Cz. II. — 25  
 46. **Skarga Piotr Ks.** Kazania sejmowe — 50  
 47. **Kraśiński Z.** Nieboska Komedia. — —  
 48. **Mickiewicz A.** Wybór utworów lirycznych. Cz. I. — —  
 49. — Wybór utworów lirycznych. Cz. II. — —  
 50. — — — Cz. III. — —  
 51. — — — Cz. IV. — —  
 52. — Giaur, przekł. z Byrona. — —



### Zakończenie.

Był to ostatni list do rodziny pisany. Zaatakowany postęпами coraz gwałtowniej rozwijającej się choroby dziedzicznej w jego rodzinie, Słowacki zmarł na suchoty gardlane d. 3 kwietnia 1849 r. w obecności dwóch najserdeczniejszych przyjaciół swoich: Felińskiego i Pettiniaud. Oni też zajęli się gorliwie pogrzebem, który odbył się d. 5 kwietnia. Z powodu szczupłych funduszów poety, Feliński zakupił przedewszystkiem za 500 fr. grób na własność wieczystą na cmentarzu Montmartre. Niezabalsamowane ciało Słowackiego, złożone w trumnie czarnej z białym krzyżem na wieku, wystawiono w kościele właściwej parafii Saint-Philippe du Roule, gdzie odbyło się nabożeństwo żałobne. Poczem najskromniejszy, bo 9-ej klasy, karawan, powiózł o godzinie 12-ej śmiertelne szczątki poety na Montmartre. W orszaku żałobnym postępowali Feliński, Pettiniaud i garstka zaledwie obojętnych, niegłośnych nawet nazwisk polaków, gdyż jak objaśniono wyżej, cała prawie emigracja, z wyjątkiem starców i dzieci w r. 1848 sformowała się w legiony i wyruszyła bądź w Poznańskie, bądź do Galicji, ażeby wziąć udział w wypadkach ówczesnych. Na mogile poety staraniem i według rysunku Pettiniaud wzniesiono ładny, choć nietrwaly pomnik: na odłamku skały krzyż owinięty bluszczem, u spodu krzyża medalion dłuta Władysława Oleszczyńskiego. Pomnik ten odnawiany był następnie kosztem matki, a przed laty kilkunastu ze składek publicznych, wreszcie w 1894 r. staraniem Komisji opieki nad grobami polskimi w Paryżu. Szczegóły ostatniej choroby i zgonu Słowackiego opisał pod wpływem świeżego wrażenia w liście do Teofila Januszewskiego z dnia 17 kwietnia 1849 r. Szczęsny Feliński.

Pani Bécu po stracie syna żyła jeszcze lat sześć, zmarła bowiem podczas grasującej w Krzemieńcu cholery d. 26 lipca st. st. 1855 r., mając lat 64, zaś Teofil Januszewski zmarł w Ubieniu d. 25 marca 1865 r.



260607/2



2. **Mickiewicz A.** Grażyna. — 6  
 3. — Konrad Wallenrod. — 10  
 4. — Farys, Sonety Krymskie, Almotenami, Szanfary — 5  
 5. **Słowacki J.** Anelli. — 10  
 7. **Konopnicka M.** Ziemia polskie. — 20  
 8. **Malczewski A.** Marja Powieść. — 12  
 9. **Brodziński.** Wiesław. — 5  
 10. **Goszczyński** Sobótka. — 5  
 11. **Krasicki I.** Bajki i przypowieści. — 10  
 12. **Pol W.** Mohort. Rapsod rycerski. — 15  
 13. **Słowacki J.** Ojciec zadźmionych. — 8  
 14. **Syrokomla W.** Janko cmentarnik — 7  
 — Jan Dębóróg. — 10  
 16 **Zieliński G.** Kirgiz. — 8  
 17. **Pol W.** Pieśń o ziemi naszej. — 5  
 18. **Niemcewicz J U** Śpiewy historyczne. — 15  
 19. **Kraśiński Z.** Przedświt. — 5  
 21. — Psalm miłości. — 7  
 22. **Syrokomla Wł.** Ułas. — 10  
 23. — Kęs chleba. — 7  
 24. **Lenartowicz T.** Lirenka. Cz. I. — 5  
 — Lirenka. Cz. II. — 5  
 26. **Mickiewicz A.** Bajki i Powiastki. — 5  
 27. **Słowacki J.** W Szwajcarii. Erotyki. — 10  
 28. **Mickiewicz A.** Ballady i Romanse. — 12  
 29 **Kochanowski J**  
 30. **Krasicki I.**  
 31. **Kraśiński Z**  
 32. — Poezje  
 33. **Korzon T.** Grun...  
 34. **Glatman L.** Wielka wojna. 60  
 35 **Słowacki J.** Poezje religijne. — 8  
 36. **Kraśiński Z.** Poezje liryczne Cz. II. — 10  
 37. — Poezje liryczne. Cz. III. — 10  
 38. — Noc letnia. — 12  
 39. **Słowacki J** Poezje liryczne. Cz. I. — 8  
 40. — Poezje liryczne. Cz. II. — 8  
 41. — — — Cz. III. — 10  
 42. — Genesis z Ducha. — 10  
 43. — Zawisza Czarny — 25  
 44. — Wybór listów. Cz. I. — 25  
 45. — — — Cz II. — 25  
 46. **Skarga Piotr Ks.** Kazania sejmowe — 50  
 47. **Kraśiński Z.** Nieboska Komedia. — —  
 48. **Mickiewicz A.** Wybór utworów lirycznych. Cz. I. — —  
 49. — Wybór utworów lirycz. Cz. II. — —  
 — — — Cz. III. — —  
 51. — — — Cz. IV. — —  
 52. — Giaur, przekł. z Byrona. — —